

# LAISSEZ FAIRE

PISMO KONSERWATYWNO-ANARCHISTYCZNE

NUMER 11, PAŹDZIENIK 2007

www.mises.pl

 **INSTYTUT  
MISESA**  
Fundacja Instytut Ludwiga von Misesa

## PIERWSZA KOLUMNA

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy w Wasze ręce ostatni numer *Laissez Faire*. Minął rok odkąd pismo ukazało się po raz pierwszy i choć tak skromna historia nie uprawnia do zbyt rozwlekłych podsumowań, wydaje nam się, że jesteście Wam winni parę słów wyjaśnienia.

Kończymy – choć brzmi to banalnie – inni niż zaczynaliśmy. Uważni obserwatorzy zauważyli z pewnością, że formuła pisma ewoluowała, odwracając się od idei klasyczno-liberalnych, jakim patronuje Instytut Misesa, do nieco bardziej oryginalnej mieszanki postmodernistyczno-anarchistyczno-konserwatywnej. Ta swoista wolta był w pewnym sensie skutkiem naszych prywatnych poszukiwań intelektualnych, ale także pragnienia, aby zaproponować Wam, Drodzy Czytelnicy, coś, czego jeszcze na polskim rynku nie było. Marzyliśmy, aby stać się „najgorszymi” czytelnikami tekstów kultury – takimi, którzy, jak żalił się Nietzsche w *Wędrowcu i jego cieniu*, „postępują jak żołądź rabująca: biorą to i owo, co im się przydać może, plugawią i rzucają na kupę resztę, a na wszystko wypływają swe sprośności”. Przekonani, że postmodernizm, choć błędny jako program badawczy, trafnie jednak opisuje stan współczesnego świata, w którym „wszystko, co trwałe ulatnia się i rozmywa w powietrzu”, chcieliśmy – wraz z opisanym przez Tomasza Gabisia postkonserwatystą – „żeglować po głębokich, zmaconych i wzburzonych wodach idei, koncepcji, estetyk, pozwalając im się nawzajem oświetlać i odsłaniać braki oraz złudzenia”. Nasz anarchistyczny collage miał powstać jako synteza wybranych myśli nieraz bardzo od siebie odległych intelektualistów (jak choćby Jean Baudrillard, Tomislav Sunić, Wayne John Sturgeon, Murray Rothbard), które staraliśmy się wkompono-

wać w koncepcję ładu naturalnego autorstwa Hansa-Hermann Hoppego.

W jakim stopniu udało nam się spełnić nasze zamierzenia? Nie nam chyba wypada to oceniać. Na pewno jednak, przy całym bra-

## SPIS RZECZY

---

Mateusz Machaj, Juliusz Jabłecki  
– *Teoria i historia  
Imperium Americanum* ..... 2

---

Noah Chomsky  
– *Prawdziwa twarz globalnego  
terroryzmu*..... 18

---

Juliusz Jabłecki  
– *Polska: z tarczą czy na tarczy?*..... 20

---

Copyright © 2007  
by Fundacja Instytut  
im. Ludwiga von Misesa

**Redaktor naczelny:**  
Juliusz Jabłecki

**Zastępca redaktora  
naczelnego:**  
Karol Lew Pogorzelski

**Specjalista redakcji  
ds. tłumaczeń:**  
Marcin Sołtysik

„Laissez Faire” ukazuje się jako miesięcznik. Poglądy prezentowane przez autorów nie muszą się pokrywać ze stanowiskiem Instytutu Misesa.

www.mises.pl  
mises@mises.pl

Ten numer „Laissez Faire” ukazał się dzięki pomocy Pana Dariusza Szumiły.

Listy do redakcji oraz propozycje artykułów prosimy przesyłać na adres: redakcja@mises.pl.

ku profesjonalizmu – za który przepraszamy – i trudnościach, które zadecydowały w końcu o zamknięciu pisma, mamy niepozbawione odrobiny dumy wrażenie, że wzięliśmy udział w czymś ciekawym. Najlepszą nagrodą byłoby dla nas, gdybyście i Wy, Drodzy Czytelnicy,

spoglądając kiedyś na zakurzone dwanaście numerów naszego pisma, doszli do takiego przekonania.

Dziękujemy wszystkim, którzy nam pomagali, którzy pisali dla nas teksty i udzielali nam wskazówek, przede wszystkim zaś tym, którzy nas cierpliwie czytali i prenumerowali. Żegnajcie!

*Redakcja*

# Teoria i historia

## Imperium Americanum<sup>1</sup>

*Mateusz Machaj, Juliusz Jabłecki*

**Rzut oka na historię Stanów Zjednoczonych Ameryki XX wieku odkrywa przed nami długi zapis wojen, interwencji zbrojnych, akcji „pacyfikacyjnych”, działań prewencyjnych, konferencji pokojowych, spotkań i nasiadówek politycznych. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że kształtowana przez politycznie poprawne media pamięć o tych wydarzeniach przypomina chaotyczny zbiór niepowiązanych ze sobą stopklatek.**

Rzut oka na historię Stanów Zjednoczonych Ameryki XX wieku odkrywa przed nami długi zapis wojen, interwencji zbrojnych, akcji „pacyfikacyjnych”, działań prewencyjnych, konferencji pokojowych, spotkań i nasiadówek politycznych. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że kształtowana przez politycznie poprawne media pamięć o tych wydarzeniach przypomina chaotyczny zbiór niepowiązanych ze sobą stopklatek. Starannie dobrane zdjęcia lub migawki telewizyjne zastępują wszechstronną analizę historyczną, tworząc przystępny, łatwy w odbiorze i przekazie obraz rzeczywistości. W ten sposób historia wieku XX staje się komiksem, w którym najpierw widzimy zatopienie Lusitanii, zaraz potem atak na Pearl Harbor, bombowce nad Hiroszimą i Nagasaki, strzały do Kennedy’ego, uśmiechy prezydenta Cartera w Camp David, czołgi z Pustynnej Burzy, płonące wieże WTC, obalenie pomnika Saddama Husajna... Co kilka sekund dopisany zostaje nowy obrazek, a rozbudowana wykładnia historyczna trafia do szkół, uczelni i mowy codziennej. W dobrym guście jest oczywiście na wrywki znać następujące po sobie stopklatki, ale równie ważne – a może nawet ważniejsze – jest, by każdą z nich pamiętać jako wydarzenie przypadkowe, niemal bez związku z pozostałymi. Najmniejsza próba przedstawiania elementów tej „historycznej układanki”, spojrzenia nie tylko na jeden, ale całościowo na wszystkie obrazki, by ustalić pomiędzy nimi związki i właściwe zależności, spotyka się z natychmiastowym oskarże-

niem o paranoję i głoszenie „spiskowej teorii dziejów”. Prezydent Franklin Delano Roosevelt mawiał jednak, że w polityce nic nie dzieje się przypadkiem, a jeśli się dzieje, to można iść o zakład, że tak to zostało zaplanowane. Warto więc chyba, niejako dla odmiany, zadać sobie trud i spojrzeć na historię USA nie jak na materiał filmowy z FOX News, ale jak na zapis realizacji planów, zamysłów, knoń i intryg. Słowem, zadać sobie pytanie nie tylko o to, jak naprawdę przedstawia się amerykańska rzeczywistość, ale również o to, dlaczego akurat tak, a nie inaczej. Naturalnie przedstawienie całej historii Stanów Zjednoczonych i ich dojrzewania do statusu globalnego hegemonu jest zadaniem tyleż trudnym, co wymagającym dużo więcej miejsca niż pozwalają na to ramy tego artykułu. Postaramy się zatem raczej przedstawić teorię powstawania potęgi imperialnej USA oraz kluczowe wydarzenia historyczne ilustrujące ten proces. Proces, który podobnie jak wszystkie inne etatystyczne projekty, zmierza stopniowo do swojego kresu.

### Wolny rynek, etatyzm i wielki biznes

Analiza funkcjonowania podstawowych instytucji społecznych opiera się na rozróżnieniu pomiędzy relacjami dobrowolnymi, czyli wszelkiego rodzaju kontraktami (np. handlowymi czy małżeńskimi), a władczymi, czyli takimi, w których jedna strona siłą zmuszą drugą do posłusznego podporządkowania się (np. niewolnictwo, podatki itd.). Na podstawie tej właśnie dychotomii francuscy klasycy liberalizmu, jak Charles Comte czy Charles Dunoyer wprowadzili pojęcie „walki klas”, któ-

<sup>1</sup>Tekst jest zmienioną wersją artykułu, który ukazał się w czasopiśmie *Opcja na Prawo* Nr 3/51 2006.

ra choć dziś kojarzy się niemal automatycznie z markizmem, kiedyś rozumiana była jako konflikt między ludźmi pracującymi na rynku – płacącymi podatki – a ludźmi, których działalność jest finansowana za pomocą instytucji przymusu – żyjącymi z podatków. Zgodnie z takim podejściem historia staje się areną walki nie tylko między wyzyskującym rządem a wyzyskiwanymi obywatelami, ale szerzej także między różnymi rządami, z których jedno usiłują wyzyskiwać inne. Zaczniemy od tych pierwszych relacji.

Wolny rynek to nazwa dla imponującego mechanizmu, który, jak już zauważyliśmy, konstytuują dobrowolne umowy. Wraz z koncepcją wolnego rynku zostało ukute (przez W. H. Hutta) pojęcie „suwerenności konsumenta”, oznaczające, że każdy konsument ma prawo ostatecznie zdecydować, na jakie dobra wyda swoje własne pieniądze. Stąd ostatecznym sędzią i nadzorcą całego procesu gospodarowania jest konsument, pragnący zaspokoić swoje potrzeby. To właśnie ten, niedoceniony we współczesnych teoriach, mechanizm sprawia, że przedsięwzięcia niepożądane przez społeczeństwo – a zatem po prostu nierentowne – zostają szybko usunięte ze sfery gospodarczej.

Zupełnie inaczej jest jednak w przypadku relacji przymusowych, ustanawianych przez określony na danym terenie porządek prawny. Tutaj zgodnie z tradycją prawa publicznego relacja między dwoma podmiotami nie jest równorzędna, jak w prawie cywilnym, lecz władcza, co umożliwia jednej stronie na przykład ogłoszenie się właścicielem danej części zasobów drugiej strony. Pozyskiwanie środków do życia nie musi zatem odbywać się na drodze dobrowolnych umów, ale poprzez werbalną deklarację wzbogaconą najczęściej groźbą przemocy fizycznej w tej czy innej formie. Oczywiście we współczesnych systemach prawnych występują ograniczenia na tego typu działalność, mają one jednak raczej naturę proceduralną niż substancjonalną.

Instytucją działającą w oparciu o relacje władcze jest państwo definiowane jako przymusowy monopolista prawny oraz ostateczny sędzia we wszystkich konfliktach na danym terenie – także tych, dotyczących samego państwa. Z samego statusu monopolisty wynika, że jakość świadczonych przezeń usług – w tym wypadku produkcji prawa i porządku – będzie się stopniowo obniżać, a ich cena będzie rosła. Oznacza to zatem, że naturalną koleją rzeczy będzie stopniowy wzrost podatków, czyli ceny, jaką płacimy rządowej agencji za ochronę, oraz spadek poczucia bezpieczeństwa, wynikający z inflacji utrudniających życie przepisów interpretowanych w dodatku zawsze na korzyść państwowych urzędników. Rozrost legislacji leży więc niejako w naturze państwa, ale jest on tym większy, że może służyć nie

tylko do – jak pisaliśmy wyżej – zapewnienia państwu przychodów budżetowych, lecz także do wprowadzania rozwiązań prawnych, które będą wspierać grupy interesu związane z istniejącym systemem. Wyjaśnijmy to pokrótce.

Prywatny przedsiębiorca musi sprzedawać produkty pożądane przez konsumentów, a oddanie się w ręce mechanizmu rynkowego, opartego na nigdy nie dających się do końca przewidzieć aktach wyboru, jest bardzo ryzykowne. Po zainwestowaniu ogromnych środków może się bowiem okazać, że towar nie cieszy się uznaniem klientów i cała inwestycja zostanie zmarnowana. Dlatego właśnie w pewnym sensie trudno wyobrazić sobie coś bardziej niebezpiecznego dla przedsiębiorcy niż wolny wybór kupującego.

O ileż łatwiej żyłoby się przedsiębiorcy, który by usunął z drogi tę przeszkodę i na przykład prawomocnym dekretem odebrał konsumentom prawo do kapryśnego zmieniania gustów i niekupowania jego produktów! Problem jednak polega na tym, że taki przedsiębiorca musiałby zastosować środki przymusowe, czyli skierować siłę bezpośrednio przeciw konsumentowi i narzucić mu jakąś formę niewoli, a takie zachowanie prawdopodobnie szybko spowodowałoby opór społeczny. Zupełnie inaczej jest natomiast w przypadku monopolisty prawnego, który przecież nie stoi wobec jakiegokolwiek niepodważalnego prawa, ale sam je tworzy z pomocą „ojców założycieli”, konstytucjonalistów i architektów systemowych. Nikt nie waży się podnieść ręki na państwo, a jeśli nawet, to odpowiednie jednostki „pacyfikacyjne” błyskawicznie zatroszczą się o to, by więcej już nie burzył „ładu społecznego”. Inflacja przepisów prawnych pozbawiona jest zatem w państwie demokratycznym praktycznie wszelkich ograniczeń.

Siłą rzeczy labirynt prawa, po którym wzajemnie ścigają się prawnicy, budowany z dnia na dzień przez państwo umożliwia poszczególnym grupom interesu redystrybuowanie środków od całości społeczeństwa. Chociaż przedsiębiorca nie był w stanie przyłożyć pistoletu do skroni klienta i zmusić go do kupna określonego towaru, to przecież dzięki odpowiednim układom z władzą może przepchnąć takie regulacje, które konsumentów skutecznie do tego „zachęca”. Przykładowo, jeśli producenci zestawów głośnomówiących chcą zarabiać więcej pieniędzy, a mają problemy z popytem na swoje produkty, to przecież wystarczy namówić ustawodawcę, by ten uchwalił odpowiednie prawo i zakazał używania telefonów komórkowych w trakcie jazdy.

Na forsowanie korzystnych regulacji mogą sobie pozwolić przede wszystkim wielcy przedsiębiorcy. W grę wchodzi bowiem najczęściej duże pieniądze, z czego doskonale zdają sobie sprawę wykonawcy i twórcy prawa,

wyciągając ręce po odpowiednio wysoką zapłatę. Korzyści skali pojawiają się zatem w produkcji prawa dokładnie na tej samej zasadzie, co w przypadku prowadzenia zwykłego, rynkowego, biznesu. Dysponowanie wielkim kapitałem ułatwia większą produkcję i korzystniejszy rozkład kosztów na jednostkę. Wymagane są większe nakłady finansowe, ale te większe nakłady spowodują większą produkcję, która lepiej rozłoży wszystkie koszty na jednostkę.

Przedstawiciele wielkiego biznesu będą więc bardzo chętnie inwestować swoje zarobione pieniądze w celu zmniejszenia zakresu suwerenności konsumenta, bo choć koszty łapownictwa mogą być znaczne, to jednak przyszłe i, co istotne, pewne zyski wynagradzają je z nawiązką. To najlepiej tłumaczy na pozór dziwny historyczny fakt, że najwięksi kapitaliści są też najbardziej zażartymi wrogami prawdziwego kapitalizmu. Jak wykazali rewizjonistyczni historycy, tacy jak Murray Rothbard czy Gabriel Kolko, początek ekspansji etatyzmu w USA na fali tzw. Progressive Era (przełom XIX i XX wieku) był zainicjowany przez przedstawicieli wielkiego biznesu, którzy w imię „progresywnych” reform ochoczo przystępowali do regulowania skartelizowanego – nota bene na ogół w jakimś stopniu przez nich samych – przemysłu. Każdy, najmniejszy nawet krok państwa ku centralnemu planowaniu – utworzenie banku centralnego, reformy socjalne czy choćby affirmative action – był w USA dopingowany lub wręcz inicjowany przez największe i najsilniejsze politycznie grupy interesów. Ogromne korporacje zawsze chętnie poddawały się regulacjom pod warunkiem oczywiście, że jeszcze bardziej niż w nie same godziły one w konkurencję. Dlatego właśnie chętnie witają one wprowadzanie rozmaitych zezwoleń czy koncesji, bo na pewno utrudni to szybkie powstanie konkurencji w danym sektorze. Podobnie ma się rzecz z wprowadzaniem większych podatków albo innego rodzaju obciążeń. Jeśli tylko wyeliminują one biedniejszych przedsiębiorców, to dodatkowa opłata uiszczana na rzecz państwa (lub zasilająca prywatną kieszeń poborcy podatkowego) może się okazać znacznie mniejsza niż zwiększone zyski z tytułu eliminacji konkurencji. To właśnie dlatego szefostwo Wal-Marta, ogromnej amerykańskiej sieci supermarketów, opowiedziało się niedawno za zwiększeniem płacy minimalnej w USA. Wynikało to z prostego faktu, że Wal-Mart i tak płaci średnio więcej niż wynosi płaca minimalna, a jej podniesienie wyeliminowałoby przymusowo małych konkurentów. Faktem jest, że zasada postępowania ogromnych korporacji przypomina tu rzucanie sobie samemu bełek pod nogi. Z pewnością będzie trzeba ponieść wysiłek w postaci dla zręcznego ich przeskoczenia, ale cóż z tego, skoro belki sprawią, że wszyscy mniejsi

konkurenci depczący po piętach porozbijają sobie przez nie głowy.

Zyski, które wielki biznes może osiągać przy pomocy regulacji prawnych ustanawianych przez państwo można by wymieniać bez końca. Naturalnie równie długa jest lista korzyści, które czerpią urzędnicy państwowi z kontaktów z majątynymi biznesmenami. Dla nas ważne jest jednak to, że ekspansja wewnętrzna aparatu państwowego jest tym większa i tym szybsza, im większa jest w danym państwie koncentracja silnych grup biznesowych. Im większy biznes, tym większy potencjał dla dużego, silnego, bardziej i opresyjnego państwa.

### Państwo i polityka zagraniczna

Przejdźmy teraz do innych implikacji z przedstawionej wyżej definicji państwa. Jest ono, jak powiedzieliśmy, jedyną na danym terenie instytucją posiadającą władzę tworzenia i interpretowania prawa oraz używania przemocy w jego egzekwowaniu. Wynika stąd natychmiast, że państwo może nakładać podatki, tj. wywłaszczać swoich obywateli, arbitralnie określając rodzaj i wielkość daniny. Wiąże się to jednak z łatwym do przewidzenia ryzykiem emigracji obywateli-podatników. Skoro bowiem państwowa władza nakładania podatków rozciąga się tylko na pewien jasno określony obszar, to dość naturalnym odruchem w sytuacji gdy opodatkowanie (lub inne regulacje) staje się zbyt uciążliwe jest opuszczenie terytorium Lewiatana, umożliwiające jeśli nie uzyskanie całkowitej wolności, to chociaż zmianę suwerena na łagodniejszego. Oczywiście państwo na każdą taką ucieczkę patrzy nieprzychylnie, gdyż oznacza ona zmniejszenie dochodu z podatków, tym wyraźniejsze im mniejsza jest początkowo populacja danego kraju i im bogatsze, bardziej produktywne jednostki decydują się na emigrację.

Jest także i druga strona medalu – imigracja. Inaczej niż emigracja, prowadzi ona do zwiększenia populacji danego kraju i witana jest na ogół z radością, gdyż przynajmniej potencjalnie przekłada się na większe wpływy do kasy państwa. O wielkości imigracji decyduje relatywna uciążliwość polityki wewnętrznej danego państwa w porównaniu z innymi. Im bardziej liberalny jest rząd w kraju X, tzn. im mniejsze są tam podatki lub znośniejsze przepisy, tym więcej ludzi, skuszonych choćby niewielką poprawą warunków życia, stanie się z wyboru jego mieszkańcami. Oczywiście nie istnieje żadna raz na zawsze ustalona skala liberalnego charakteru polityki wewnętrznej. Atrakcyjność poszczególnego państwa jest raczej cechą relatywną, ustalaną w odniesieniu do atrakcyjności pozostałych.

Ważne jest jednak to, że zwiększanie bazy podatkowej może się odbywać nie tylko poprzez liberalizację polityki wewnętrznej, ale i na drodze ekspansji, która naturalnie odbywa się kosztem innych państw. Pozwala to zresztą zrealizować jednocześnie dwa cele. Z jednej strony oczywiście zwiększa się liczbę poddanych-podatkowników, a więc tym samym również władzę i wpływy do kasy państwa. Z drugiej natomiast zmniejsza się liczbę sąsiadujących państw, czyli konkurentów, do których mogliby potencjalnie wyemigrować poddani. W wyniku ekspansji emigracja staje się trudniejsza i bardziej kosztowna (trzeba przemierzyć większe odległości), co z kolei pozwala zwiększyć opresyjny charakter rządów.

Powiększanie terytorium i wciąganie pod swoją kontrolę coraz większej liczby ludzi jest procesem niebezpiecznym i wymagającym sporych nakładów finansowych, ale dla państwa jako monopolistycznego właściciela fakt ten stanowi zdecydowanie mniejszą przeszkodę niż dla zwykłych obywateli (co być może tłumaczy w jakimś stopniu fakt, że „zwykła” przestępczość mimo całej swej uciążliwości i brutalności nigdy nie osiągnęła rozmiaru wojen międzypaństwowych). Mogąc z jednej strony osiągnąć natychmiastową gratyfikację na drodze ekspansji, a z drugiej przenieść koszt swoich agresywnych eskapad na wszystkich obywateli, państwa będą angażować się w konflikty, dążąc do przejęcia kontroli nad rywalami. Elementarna wiedza ekonomiczna pozwala nam nawet przewidzieć, które z państw będą w tej długiej batalii zwycięskie. Oczywiście zwycięstwo lub porażka w wojnie może być rezultatem wielu nakładających się na siebie czynników, ale bez wątpienia na dłuższą metę najważniejsze jest to, jaką ilość środków materialnych może dane państwo objąć w posiadanie (zabrać obywatelom) i wykorzystać dla własnych celów. Powodzenie w konflikcie zbrojnym zależy więc w dużej mierze od bogactwa obywateli. Ci zaś będą tym bogatsi, im mniej opresyjny będzie rząd, ponieważ podatki i regulacje zmniejszają produktywność poniżej poziomu, który mogłaby inaczej osiągnąć. Podsumowując zatem, zwycięskie, a więc i bardziej agresywne, będą państwa prowadzące bardziej liberalną politykę wewnętrzną, gdyż to właśnie one są w stanie zmobilizować większe ilości środków materialnych koniecznych do prowadzenia długich kampanii wojennych. Z rozważań tych natychmiast wynika, dlaczego to właśnie Wielka Brytania odgrywała dominującą rolę na arenie światowej w XIX w., a także to, dlaczego w XX w. jej miejsce zajęły Stany Zjednoczone. Otóż w okresach swej świetności oba te kraje były – a USA nadal są – wyraźnie bardziej liberalne od pozostałych.

### Teoria gospodarczego imperializmu

Istnieje proste kryterium pozwalające dość łatwo określić, kiedy mamy do czynienia wciąż jeszcze ze zwykłym państwem narodowym, a kiedy już z imperium. Naturalnie każde takie rozróżnienie jest z konieczności dość arbitralne, jednak w zupełności wystarczające na potrzeby tego artykułu. Otóż państwo narodowe nakłada podatki jedynie na swoich obywateli, podstawą statusu imperialnego jest natomiast możliwość opodatkowywania obywateli innych państw. Historycznie wykorzystywane były różne formy opodatkowania i różne formy ekspansji. Zarówno imperium rzymskie czy otomańskie, jak i kolonialne imperium brytyjskie opierały się na ekspansji militarnej – podboju, za którym szło bezpośrednio ściąganie daniny, najczęściej w postaci złota, srebra, niewolników lub innych dóbr ekonomicznych. Jednak dwudziestowieczne imperium amerykańskie, pomimo problemów, jakie wiązały się z kolonializmem i ekspansją militarną posłużyło się dużo subtelniejszymi środkami, które pozwoliły z czasem ostatecznie rozciągnąć sferę pośredniego opodatkowania i kontroli na niemal cały świat. Aby to wyjaśnić wróćmy do analizy związków pomiędzy wielkim biznesem i państwem.

Jak pisaliśmy wyżej, państwo dla zwiększenia swojej siły zawiązuje swoisty strategiczny alians z przedstawicielami silnych grup biznesowych, którzy z kolei używają państwowej maszyny przymusu do ukształtowania rynku w sprzyjający dla siebie sposób. Profity, na jakie w takim sojuszu może liczyć wielki biznes będą zależały od tego, na jak dużym terenie działa państwo. W skali jednego kraju możliwości wyzysku są relatywnie niewielkie. Gdyby natomiast zakres interwencji państwowej został rozszerzony na inne państwa i tereny, wówczas znacznemu rozszerzeniu uległyby także powiązania biznesowe. To zupełnie nowe pole do współpracy pomiędzy państwem a wielkim biznesem wyśmienicie określa teoria tzw. „optymalnego obszaru handlowego”.

Zgodnie z teorią ekonomii rynku, optymalny obszar handlowy jest ustalany przez preferencje i swobodne decyzje osób ze sobą handlujących. Jeśli między jakimiś obszarami nie dochodzi do wymiany, oznacza to po prostu, że w pojęciu ludzi zamieszkujących te obszary, nie jest ona szczególnie korzystna, i że wolą oni inaczej wykorzystać posiadane dobra. Jeśli natomiast dochodzi do wymiany i to na takich, a nie innych warunkach, to należy rozumieć, że strony wolą zrobić taki akurat użytek ze swoich zasobów. Preferencje te – będące naturalnie zawsze preferencjami konkretnych, handlujących ze sobą ludzi – nie zawsze zgadzają się jednak z preferencjami władzy. Urzędnicy państwowi często mają odmienne zdanie co do tego, jaki powinien być „optymalny obszar handlowy” w danej sytuacji. Z jednej strony więc nakła-

dają cła na konkurencję z zagranicy, ograniczając tym samym przymusowo obszar handlowy (jak zrobiła to na przykład administracja G. Busha w przypadku handlu stalą). Z drugiej zaś strony – uważając, że wymiana między pewnymi obszarami jest zbyt mała – na różne sposoby subsydują rozszerzenie „obszaru handlowego”. Nietrudno zauważyć, że – tak jak w przypadku rynku wewnętrznego – każda decyzja państwa o regulacji rynku międzynarodowego, jego przymusowym pomniejszeniu lub zwiększeniu oznacza zamknięcie lub otwarcie nowych przestrzeni handlowych, a zatem większe zyski dla jednych, a straty dla drugich.

Widać zatem, że w sferze polityki zagranicznej interesy wielkich biznesmenów także mogą pokrywać się z interesami urzędników państwowych. Aby jednak zapewnić społeczne przyzwolenie dla takiego strategicznego aliansu, konieczne jest jeszcze włączenie do współpracy przedstawicieli trzeciego środowiska – intelektualistów. To oni postarają się o zasłonę dymną dla machinacji możliwych i wielkich, w zamian za co otwarty zostanie rynek zbytu na świadczone przez nich, wątpliwej jakości usługi, którymi nikt by inaczej nie był zainteresowany. Dokładnie według tego scenariusza rozwijała się na początku XX w. a Ameryce późniejsza „triple helix” – związek państwa, biznesu i intelektualistów.

Słynne prawo Saya w ekonomii, doskonale rozwijane przez szkołę austriacką, mówi o tym, że relacja między popytem a podażą jest równoważona przez obustronne związki konsumentów i producentów. Produkcja jest zorganizowana pod konsumpcję i przedsiębiorcy starają się skutecznie przewidzieć popyt konsumentów. Jak zaznaczyliśmy wyżej, stanowi to dla przedsiębiorców prawdziwe wyzwanie. Klienci mogą się w każdej chwili od danego towaru odwrócić, a to sprawia, że jego producent musi bacznie obserwować proces produkcyjny, nie zawyżać kosztów i pilnować wartości własnej produkcji. Jeśli sprzedawca nie może czegoś sprzedać, oznacza to po prostu, że wyprodukował towar w danym momencie niepożądanym. Jeśli producent chce sprzedać swój towar, to wystarczy, że obniży cenę tak, by przyciągnąć konsumentów. Jeśli jednak cena spadnie poniżej kosztów, cały proces przyniesie straty, co z kolei będzie sygnałem dla przedsiębiorcy, że niepotrzebnie podbijał koszty i winien był wstrzymać się z produkcją.

Zupełnie innego zdania byli – powiązani zarówno z rządem amerykańskim, jak z wpływowymi biznesmenami – „inżynierowie ekonomiczni i społeczni”, Arthur Hadley, Jeremiah Jenks i Charles A. Conant (autor także wymownej pracy „Ekonomiczna podstawa imperializmu”). Wraz z tezami o tym, że prawo Saya jest nieważne, a szkoła austriacka to bardziej psychologia niż ekonomia, sformułowali oni teorię imperializmu

wynikającego z nadprodukcji i zbyt dużej akumulacji kapitału. Według nich nagromadzenie kapitału w USA odpowiadało za zbyt niskie stopy procentowe, uniemożliwiające dalszą rentowną produkcję. Kapitalizm był systemem, w którym wysokie „stałe koszty” hamowały sprawne funkcjonowanie popytu i podaży, co objawiało się tym, że ponoszone były wysokie nakłady na produkcję, a siła nabywczą ludności nie wystarczała do „oczyszczenia rynku”.

Receptą na wszystkie te bolączki miała być według nowych speców interwencja państwowa, polegająca na „otwieraniu zagranicznych rynków” na amerykański kapitał i regulowaniu niedopasowania popytu i podaży. Rzecz jednak w tym, że cała teoria głoszona była w zasadzie tak, jakby zyski amerykańskiego rządu i wielkiego biznesu były ostatnią rzeczą, jaką reformatorzy mieli na myśli. Przede wszystkim bowiem, chodziło o przyświecającą ciemnemu ludowi, szczególnie Ameryki Łacińskiej, oswojenie go z cywilizacją i umożliwienie handlu z białym człowiekiem. Pod sztandarami „white man’s burden” w pierwszym rządzie reformowano system walutowy we wszystkich de facto podległych krajach (najczęściej w zamian za duże pożyczki) wprowadzając rodzaj systemu dewizowo-złotego opartego na dolarze. Następnie przy współudziale amerykańskich biznesmenów i lokalnych elit nawiązywano korzystne (oczywiście przede wszystkim dla USA) stosunki handlowe. Nagle zupełnie zdezaktualizowały się stare teorie klasyczne głoszące, że o handlu i jego optymalnym poziomie decydują preferencje ludzi. Priorytetem było uregulowanie gospodarki, początkowo w kraju, a potem za granicą i – w mocnych słowach Charlesa Conanta – „rzeczą całkowicie drugorzędną” było, „czy Stany Zjednoczone zbrojnie zajmowały jakieś terytorium, ustanawiały na wespół niezależne protektoraty, czy też po prostu polegały na silnej strategii dyplomatycznej promującej dostęp dla inwestorów do wcześniej niedostępnych terenów”. Dzięki przymusowemu otwarciu zagranicznych rynków zbytu, skartelizowany przemysł amerykański mógł pozbyć się dodatkowej produkcji, która z powodu zbyt wysokich cen nie znajdowała kupców w kraju. Rząd tymczasem poprzez reformę systemu walutowego obejmował kontrolę nad nowymi obszarami handlowymi, unikając bezpośredniej interwencji militarnej.

Trzeci element wspomnianej już „triple helix” – intelektualiści, przedstawiciele amerykańskich lobbystów i zwolennicy rozpasanego etatyzmu są praktycznie nieznanymi w świecie naukowym. Często dziś można przeczytać o teorii imperializmu Hobsona-Lenina, o teorii niedoskonałej konkurencji Chamberlina-Robinson, czy też najśłynniejszej teorii efektywnego popytu Johna Maynarda Keynesa. Co ciekawe jednak, wszystkie ważne

tezy tychże znanych później postaci wyszły wprost spod pióra pierwszych piewców teorii imperialistycznych. To nie Lenin, wielki komunistyczny teoretyk, wymyślił teorię imperializmu wynikającego z nadprodukcji i malejących zysków. To nie Keynes, architekt współczesnego państwa interwencjonistycznego, wymyślił teorię polityki fiskalnej i monetarnej. To nie Robinson, czy Chamberlin, wymyślili teorię polityki antytrustowej i konieczności walki z nadmierną koncentracją na rynku. Czy się tego chce, czy nie, wszystkie te teorie zostały po raz pierwszy zaprezentowane przez mało znanych orędowników imperializmu działających na zlecenie rządu i wielkich kapitalistów, dla których, paradoksalnie, teorie interwencjonistyczno-imperialistyczno-antytrustowe stanowiły znakomity środek do powiększenia siły i majątku.

### Rząd, banki i pieniądze

Wyjaśniliśmy już, że wielki rząd potrzebuje wielkiego biznesu. Nie wspominaliśmy jednak dotąd, jak ważnym elementem ekspansji aparatu państwowego jest kontrola pieniądza. Amshall Rothschild, właściciel banku w osiemnastowiecznym Frankfurcie miał kiedyś powiedzieć: „Pozwólcie mi drukować i kontrolować pieniądź narodowy, a nie będę liczył się z tym, kto ustanawia prawa”. Słowa te doskonale oddają wagę posiadania kontroli nad walutą krajową – przywileju, który złożony w ręce jednej instytucji gwarantuje jej oczywiście nie tylko dostatek, ale pozwala również pośrednio uzależnić od siebie wszystkie podmioty rynkowe na co dzień posługujące się pieniędzmi. Pełna władza nad pieniądzem jest jednak dopiero zwieńczeniem wielowiekowego procesu wywłaszczania, któremu początek dało bezpośrednie opodatkowanie.

Podatki są nie tylko najprostszym i najstarszym sposobem pozyskiwania bogactwa od społeczeństwa, ale sposobem wręcz wpisany w naturę państwa. Z punktu widzenia władzy jest to jednak sposób dosyć problematyczny, bo wymagający bezpośredniej konfiskaty. Jawne zawłaszczanie czyjeś mienia może łatwo doprowadzić do rewolty społecznej i oporu. Taki zresztą paradoksalnie był właśnie początek Stanów Zjednoczonych, które narodziły się po rewolcie kolonistów przeciwko podatkowi nakładanym przez angielskiego króla Jerzego III. Wobec tych oczywistych problemów, rządzący zdali sobie sprawę, że pozyskane pieniądze są potrzebne nie dla samych siebie, ale do kupowania dóbr i usług na rynku oraz redystrybucji zasobów i nagradzania beneficjentów systemu państwowego. A zatem potrzebne są nie same konkretne fizyczne pieniądze, lecz pieniądze, które zostaną zaakceptowane przez sprzedawców na rynku. Po

co więc zabierać pieniądze obywatelom, którzy mogą się przez to zbuntować, jeśli można by po prostu samemu wyprodukować dokładnie takie same pieniądze i kupować na rynku wszystko, co potrzebne!

W ten sposób narodziła się idea regaliów mennicznych, czyli specjalnych przywilejów władzy do emisji własnego pieniądza. Z chwilą gdy ludzie w wyniku swobodnej wymiany wybrali na pieniądź kruszec, wtedy rządzący zabrali się za nacjonalizację bicia monety. Zasadniczy problem polegał jednak na tym, że do bicia monety dalej potrzebne było złoto lub srebro – towary, których wytworzenie i wprowadzenie do obiegu wymagało znacznych nakładów. Przywilej bicia monety poprawiał więc nieco sytuację władzy względem poddanych, ale wciąż nie zdawał się rozwiązywać podstawowego problemu rzadkości. Rządzący posunęli się zatem o krok dalej – zaczęli psuć monety. Proceder ten polegał na prostej obserwacji, że jeśli ludzie akceptują daną monetę, to wystarczy bić ją z odpowiednio mniejszą ilością kruszcu i oszukiwać, że de facto jest to moneta w pełni wartościowa. To właśnie szkoła austriacka zwykła określać mianem inflacji. W większości przypadków podwładni jednak stosunkowo szybko orientowali się, że są oszukiwani i znajdowali chytre sposoby wykrywania, czy moneta jest dobra, czy niepełna. Jeśli była fałszywa to należało ją odpowiednio zdyskontować w porównaniu do monety pełnowartościowej i sprzedawać za niższą cenę.

Naturalnie nie było to po myśli rządzących, gdyż sprowadzało cały wysiłek fałszerski w zasadzie do punkty wyjścia. Kolejnym krokiem było więc narzucenie praw wymuszających na ludziach równe traktowanie wszystkich monet. Odtąd nie wolno już było dyskutować gorszych, rządowych monet – musiały one mieć oficjalnie tę samą wartość handlową. W ten sposób państwo wprowadziło cenę maksymalną na monety lepsze. Elementarne prawo ekonomii uczy jednak, że wprowadzenie ceny maksymalnej na jakiś towar doprowadzi do pojawienia się jego niedoborów. Dokładnie ten sam efekt, nazywany dziś prawem Greshama-Kopernika, przyniosły nowe regulacje państwowe. Po co sprzedawać po zaniżonej wartości lepszą monetę? Czyż nie lepiej byłoby ją przetopić na coś wartościowego i wyeksportować, albo schować na lepsze czasy? W ten sposób dobra moneta zniknęła z rynku, a jej miejsce zajmowała gorsza.

Podstawowy problem rządu polegał na tym, że kruszec, prawdziwy rynkowy pieniądź, był zawsze hamulcem do wzbogacenia się kosztem reszty społeczeństwa. Bowiem nawet jeśli udawało się chwilowo oszukać ludzi poprzez psucie monety, na dłuższą metę było to niezwykle trudne i przynosiło relatywnie niewielkie zyski. Po-

wszechne przekonanie o kiepskiej jakości państwowej monety rodziło destabilizację, brak zaufania, a czasem wręcz odwrót ku innym towarom, które nie traciły na wartości.

Dlatego właśnie sytuację władców znacznie poprawiło wynalezienie banknotów, czyli kwitów reprezentujących określone ilości kruszcu. Wraz z rozwojem kapitalizmu pojawiły się instytucje finansowe, które oferowały banknoty w zamian za zdeponowane u nich złoto. Zamiast chodzić z kruszczem lub ciężkimi monetami w kieszeni wystarczyło zdeponować majątek i posługiwać się papierkiem, za który w każdej chwili można było otrzymać z powrotem swoją własność. Taki rozwój wypadków szczególnie sprzyjał rządzącym, którzy szybko zorientowali się, jak zyskowna może być dla nich nowa sytuacja. Wystarczyło bowiem wydrukować więcej papierków niż zostało zdeponowanego kruszcu i wypuścić je na rynek. Inaczej niż w przypadku psutych monet, tu nikt nie mógł już z góry stwierdzić, że jakiś konkretny banknot był fałszywy, czyli nie miał odpowiedniego pokrycia w złocie czy srebrze. Wszystkie banknoty wyglądały dokładnie tak samo. Dopóki więc właściciele banknotów nie żądali wypłaty swego kruszcu (do czego trzeba ich było inteligentnie zniechęcać), rząd mógł, dzięki takiemu pośredniemu opodatkowaniu, bezpiecznie zwiększać swój dobytek i realizować wybrane cele polityczne.

Rzecz w tym, że choć swobodnie i z nadmiarem emitowane, banknoty reprezentują jednak mimo wszystko jakiś tytuł własności i w pewnym momencie – gdy znacznie urosnie dysproporcja między zdeponowanym kruszczem a ilością pieniędzy – fałszerstwo zostanie zde-maskowane. Pierwszym objawem wzrostu ilości wydawanych na rynku papierków będzie wyraźny wzrost cen. Na krótką metę państwu udawało się z reguły odwrócić uwagę od swego niecnego procederu i winą za drożyznę obarczyć spekulantów czy przedsiębiorców, lecz niezależnie od tego zdrowy rozsądek nakazywał ludziom w takiej sytuacji wymianę kwitów na złoto. Naturalnie nie wszyscy posiadacze kwitów mogli otrzymać wypłatę, gdyż zdeponowanego kruszcu było zdecydowanie mniej niż wynikałoby to z ilości krążących po rynku banknotów. Tak zwany run na banki oznaczał wielki problem i właściwie akt bankructwa zarówno dla skarbu państwa jak wszystkich kontrolowanych przez niego instytucji.

Wiadomą rzeczą jednak jest, że skarb państwa nie może zbankrutować. Nie mogą też zbankrutować banki gwarantujące przecież „stabilność finansową” w danym kraju. Wobec tego podjęto pewne środki zaradcze. Po pierwsze skartelizowano system bankowy, uniemożliwiając w nim konkurencję banków niezależnych od państwa. Po drugie stworzono takie prawo bankowe,

które bardzo utrudniało ludziom przeprowadzania runów na banki. W sytuacji, gdy klienci ruszali do banku po swoje pieniądze, rząd wspomagał zagrożony bank, a w ostateczności ogłaszał „wakacje bankowe”, zezwalając mu na niespłacenie wierzytelności. W ten sposób związany został kolejny sojusz państwa z wpływowymi grupami biznesowymi, tym razem nie przemysłowcami, ale bankierami. Charakter tego związku był zupełnie analogiczny do wcześniejszych. Państwo przejmowało kontrolę nad „rynkiem pieniądza”, co pozwalało jego kluczowym graczom wyeliminować niechcianą konkurencję i samemu następnie ciągnąć monopolistyczne profity w przekonaniu, że silny aparat prawotwórczy jest w wypadku kłopotów po ich stronie. Rząd natomiast mógł dzięki bankom z jednej strony uniknąć oskarżeń o trzymanie w swoim ręku wszystkich struktur finansowych (co w praktyce oczywiście miało miejsce), a z drugiej dzięki ścisłej kontroli mógł finansować i wspierać wybrane grupy interesów. W ten sposób bankowość stała się najbardziej etatystycznym sektorem w gospodarce, pozwalając władzy nie tylko okradać ludzi, tak aby ci nie mieli o tym pojęcia, ale również szantażować praktycznie wszystkie ośrodki biznesowe, obejmując pełnię kontroli na danym terenie.

Wszystkie powyższe stadia przejmowania władzy nad walutą dotyczyły państwa narodowego, jednak pozostają w dużej mierze aktualne także dla imperium. Jak pisaliśmy, imperium tym różni się od państwa narodowego, że nakłada podatki nie tylko na własnych obywateli, ale także na mieszkańców innych krajów. W tym właśnie sensie ewolucja władzy imperialnej, jako w istocie władzy nakładania podatków, jest odbiciem ewolucji systemu opodatkowania wewnętrznego, narzuconego obywatelom przez państwo. Dokładnie tak samo jak pierwsi władcy zawłaszczali cudzą własność i był to praktycznie jedyny sposób ciemnienia poddanych, tak samo pierwsi imperialiści podbijali zbrojnie inne kraje siłą odbierając to, co miały najcenniejszego. Stopniowo ta bezpośrednia forma opodatkowania ustąpiła miejsca pośredniej, co polegało na zreformowaniu systemu walutowego w podległym państwie tak, aby w istocie wszyscy jego mieszkańcy musieli i rzeczywiście chcieli akceptować pieniądź emitowany w metropolii.

### Krótką historia Imperium Americanum

Socjologiczna rekonstrukcja procesu powstawania superpaństwa pozwala pod maską przypadkowych zmian ujrzeć celowość i logikę przyświecającą wytrwałym staraniom bardzo konkretnych grup interesów. Historia Stanów Zjednoczonych i ich stopniowej ewolucji od klasyczo liberalnego modelu państwa minimum do

światowego imperium stanowi doskonałą ilustrację dla przeprowadzonych przez nas wcześniej teoretycznych rozważań.

Często mówi się, że USA są ojczyzną wolności. Choć nie jest to zapewne do końca prawda, Ameryka ma rzeczywiście chlubną tradycję wolnościową jako państwo, które powstało po toczonej w obronie prawa do samorządności wojnie przeciwko angielskiemu królowi. Wywalczywszy niepodległość Stany Zjednoczone przez niemal siedemdziesiąt lat można było uważać za rzeczywistnienie liberalnej koncepcji państwa minimum, w którym świętym prawem każdego była secesja usankcjonowana przez zapisane w Deklaracji Niepodległości słowa o tym, że sprawiedliwa władza wywodzi się jedynie ze zgody rządzonych. Kres marzeń o państwie minimum przyszedł wraz z wybuchem wojny secesyjnej w 1861 r., która – niezależnie od tego, jak ocenia się ją moralnie – na gruncie ideologiczno-politycznym była walką Unii o zniesienie prawa do secesji i przyznanie rządowi amerykańskiemu prawa do militarnej interwencji w sprawę innego państwa – w tym wypadku Konfederacji – ilekroć wymagał tego „interes państwowy”, czyli ilekroć miało to służyć umocnieniu aparatu centralnego. Wojna secesyjna była więc pod każdym względem precedensem w historii Ameryki i otworzyła drzwi do niepohamowanej ekspansji władzy.

Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. To właśnie w czasie wojny rząd, który wcześniej utrzymywał się niemal wyłącznie z opłat celnych, dla sfinansowania swoich olbrzymich wydatków sięgnął po bezwartościowe kwity – tzw. greenbacki – nadając im status przymusowego środka płatniczego. Koniec wojny i okres tzw. rekonstrukcji oznaczał w praktyce podwyżki podatków i dalszy rozrost państwa, tym razem związany z olbrzymimi subsydiami dla przedsiębiorstw budujących kolej. Prawdziwy wybuch etatyzmu nastąpił jednak dopiero na przełomie XIX i XX wieku wraz z Progressive Era, czyli silnym prądem reformatorskim, głoszącym potrzebę zmian w imię postępu. Co ciekawe, zmiany i postęp oznaczały dla reformatorów tylko jedno – umocnienie władzy państwa na czele z przymusową kartelizacją i centralizacją systemu bankowego, kierowanego przez bank centralny oraz legislacją antytrustową wprowadzającą monopolizację przemysłu. Postępowcom, takim jak np. wspomniany już wcześniej Charles Conant, towarzyszyła quasi-religijna wiara w porządek i konieczność regulowania nie tylko gospodarki, ale w ogóle wszystkich dziedzin życia, szczególnie zaś u ludzi, którzy swym zachowaniem (lub rasą) zdradzają, że sami sobie z tym nie poradzą.

Wojna z Hiszpanią w 1898 r. i przejście przez USA dwóch kolonii – Filipiny i Portoryko – było kolejnym

potwierdzeniem tezy, że rząd amerykański dawno już przestał być rządem minimum i zaczął być ważnym graczem na arenie międzynarodowej twardo realizującym swoje interesy. Przejście nowych terytoriów zamorskich wymuszało na rządzie USA określenie ogólnej strategii postępowania w takich wypadkach. Czy należało zamienić Filipiny i Portoryko w kolonie na wzór brytyjskich Indii? A może lepiej było odwołać się do bardziej „cywilizowanych” metod? Amerykanie, najpierw pod wodzą prezydenta McKinleya, a potem Roosevelta, Tafta i Wilsona zdecydowali się na tę drugą metodę nazywaną dziś dyplomacją dolarową i polegającą na zapewnieniu w poszczególnych krajach silnych amerykańskich wpływów przy użyciu bankierów zamiast oddziałów piechoty morskiej. Choć forma tej polityki zmieniała się z czasem, jej istotą było sprowadzenie krajów, którymi ze względów politycznych interesował się rząd amerykański na rodzaj standardu dewizowo-złotego opartego na dolarze, z bankiem centralnym i rezerwami zdeponowanymi w nowojorskich bankach.

„Oświecona” reforma systemu walutowego była kwestią dość delikatną, gdyż wszelkie manipulacje przy pieniądzu wzbudzały – słusznie zresztą – nieufność „ciemnego” ludu. Wypracowano więc chytry zabieg wykorzystujący duże zadłużenie większości krajów leżących w sferze geopolitycznych zainteresowań Ameryki. Mianowicie proponowano im umowę, na mocy której rząd USA zobowiązywał się zorganizować duże pożyczki (wykorzystywane często przez lokalnych polityków dla własnych korzyści) od banków prywatnych, w zamian za co obejmował kontrolę nad izbami celnymi dbając o spłatę długu i podejmował się reformy systemu pieniężno-bankowego. Korzystali na tym wszyscy zainteresowani. Banki inwestycyjne chętnie udzielały wysokooprocentowanych pożyczek, których spłatę gwarantował rząd USA. Urzędnicy państwowi z kolei obejmowali bardzo dużą kontrolę nad protektoratami – narzucając im w tej czy innej formie własną walutę – praktycznie bez konieczności militarne zaangażowania. Wreszcie korzystały też lokalne marionetkowe rządy, które wykorzystywały nowe fundusze dla sfinansowania własnych zachcianek i prowadzenia własnej polityki na trochę mniejszą skalę.

Dyplomacja dolarowa praktykowana przez całą pierwszą połowę XX w. usankcjonowała Stany Zjednoczone jako imperium, umożliwiając rozciągnięcie wpływów i pośrednio także ściąganie podatków z wielu krajów świata. To właśnie dzięki kontroli, jaką w zasadzie bez otwartego użycia siły sprawowały USA Cordell Hull, sekretarz stanu w administracji Franklina Roosevelta, mógł powiedzieć o jednym z dyktatorów Nikaragui: „Może i jest sukinsynem, ale jest naszym sukinsynem”.

Słowa te, nie bez przyczyny, powtarzali po nim wielokrotnie inni politycy.

Pozycja Stanów Zjednoczonych umacniała się przez całą pierwszą połowę XX w. w miarę jak słabła pozycja Wielkiej Brytanii, której pieniężne i imperialne bankructwo było usankcjonowane wspieraniem przez amerykańskie finanse. Szczególnie korzystną dla Amerykanów sytuację międzynarodową przyniósł jednak dopiero koniec II wojny światowej. Większość krajów pogrążona była w ruinie, a USA nie tylko nie były zniszczone, ale dodatkowo posiadały około 80% światowych rezerw złota. W tych właśnie okolicznościach w małej miejscowości Bretton Woods w 1945 r. narodził się system, który zdecydował o późniejszym światowym łańdźcu monetarnym. Z ekonomicznego punktu widzenia zawarta umowa oznaczała, że dolar zostanie światową walutą rezerwową. Stany Zjednoczone namówiły bowiem pozostałe kraje do oparcia swoich walut na dolarze, same zaś zobowiązały się do zagwarantowania jego wymienialności na złoto. Oczywiście przywilej ten miał dotyczyć tylko zagranicznych rządów, a nie obywateli USA czy nawet zagranicznych instytucji prywatnych. W ten sposób powstała międzynarodowa piramida finansowa, w której Stany Zjednoczone drukowały dolary, które z jednej strony były wymienialne na złoto po pewnym ustalonym kursie, z drugiej zaś także po ustalonym kursie mogły być wymienione na pozostałe waluty. Jeśli dodatkowo przypomnimy, że wszystkie kraje miały zreformowany na amerykańską modłę system bankowy, pozwalający zwiększać podaż pieniądza proporcjonalnie do posiadanych rezerw, natychmiast staje się jasne, że system z Bretton Woods służył legitymizacji globalnego podatku, który nakładały Stany Zjednoczone na resztę świata. Oto bowiem amerykański bank centralny drukował pieniądze, wymieniał je po stałym kursie, powiedzmy na franki, po czym sprowadzał do USA francuskie dobra. Francuski bank centralny przyjmował dolary rejestrując je jako wzrost rezerw pozwalający na proporcjonalny wzrost podaży pieniądza. Trzymanie dolarów było w pewnym sensie opłacalne nie tylko ze względu na to, że pozwalało prowadzić własną politykę monetarną, ale też dlatego, że na mocy umowy dolary miały – przynajmniej teoretycznie – podlegać wymianie na złoto. USA miały tym sposobem wyraźny deficyt w handlu zagranicznym – import przewyższał eksport – ale, jak ujął to doradca prezydenta de Gaulle'a, Jacques Rueff, był to „deficyt bez łoż”, gdyż za nadwyżki importu nie trzeba było płacić eksportem. Najważniejszym towarem eksportowym Stanów Zjednoczonych była inflacja.

Pod koniec lat 60. zwiększyły się naciski, aby USA spłaciły swoje wierzytelności wymieniając dolary na złoto. Naturalnie, nawet zakładając dobrą wolę rządu ame-

rykańskiego, był to postulat nie do zrealizowania, gdyż ilość pieniędzy dawno przerosła ilość kruszcu w Forcie Knox. W tej sytuacji prezydent Nixon zdecydował się na „oddłużenie” Ameryki i 15 sierpnia 1971 r. ogłosił zawieszenie wymienialności dolara na złoto. Manewr ten był ostatecznym potwierdzeniem roli i siły USA na świecie, o czym najlepiej może świadczyć fakt, że ta bez wątpienia największa i najbardziej spektakularna kradzież świata nie napotkała w zasadzie nawet cienia sprzeciwu ze strony okradanych państw.

Napiętą sytuację międzynarodową dodatkowo skomplikował wówczas kryzys naftowy związany z wojną Jom Kipur z 1973 r. i embargo nałożone przez państwa OPEC na sojuszników Izraela, w tym na Stany Zjednoczone. Rozwój wypadków zmuszał Waszyngton do uporania się z dwoma różnymi problemami. Po pierwsze, aby móc utrzymać status gospodarczego imperialisty, trzeba było w jakiś sposób zapewnić dalszą „wymienialność” dolara, to znaczy znaleźć dobry powód, dla którego wciąż korzystne byłoby trzymanie dolarów i finansowanie amerykańskiego długu. Po drugie należało upewnić się, że niebezpieczeństwo kryzysu naftowego już się nie powtórzy – chyba że pod amerykańskie dyktando.

Ponieważ kluczową rolę wśród państw OPEC odgrywała Arabia Saudyjska, to do niej właśnie skierowana była opracowana w Waszyngtonie i w pewnym sensie przypominająca stare wzorce dolarowej dyplomacji umowa. Nixon oferował saudyjskiej rodzinie królewskiej ochronę i polityczne wsparcie, a także pomoc w „wejściu w XX wiek”, ale pod dwoma warunkami. Po pierwsze Arabia Saudyjska, jako jeden z największych producentów ropy i kraj posiadający około 25% zasobów światowych tego surowca, miała gwarantować, aby mimo fluktuacji cena „czarnego złota” zawsze pozostawała w akceptowalnych dla USA widełkach i aby nigdy już nie powtórzyło się dramatyczne w skutkach embargo. Po drugie Saudyjczycy mieli odtąd akceptować tylko dolary w zamian za swą ropę i doprowadzić do przyjęcia tej zasady przez resztę państw OPEC. Tak zarobione petrodolary miały być inwestowane w obligacje rządu amerykańskiego, który z kolei zobowiązywał się za zarobione odsetki modernizować Arabię Saudyjską. Innymi słowy odsetki skumulowane na miliardowych dochodach z handlu saudyjską ropą miały być użyte na opłacenie amerykańskich firm (m.in. takich jak Halliburton, Bechtel, Brown&Root), które podejmowały się zamienić zacofane, lecz bogate państwo w nowoczesne, uprzemysłowione i przyjazne dla biznesu centrum naftowe. Trudno byłoby chyba rządowi amerykańskiemu wynegocjować lepszy układ. Udało się, bowiem nie tylko zagwarantować byt finansowy imperium i dalszą

ściągłość podatków, ale także przejąć ścisłą kontrolę (a poprzez długoletnie kontrakty także swego rodzaju współzależność) nad jednym z najpotężniejszych państw bliskowschodnich.

Istotą ładu finansowego, który wyłonił się w połowie lat 70. był nowy rodzaj wymiennalności dolara – tym razem nie na złoto, lecz na ropę. W miarę postępującego rozwoju gospodarczego wszystkie kraje potrzebowały ropy, a potencjalne skutki jej niedoboru dostatecznie obnażył kryzys naftowy. Ponieważ zaś ropę można było kupić tylko za dolary, to nagle pojawił się nowy powód dla ich trzymania. Stany Zjednoczone dalej mogły prowadzić swój eksport inflacji, doprowadzając do tego, że deficyt bilansu obrotów bieżących w 2007 r. wynosił ponad 760 miliardów dolarów. Status dolara jako hegemonia walutowego, a USA jako imperium światowego zależy więc w bardzo istotnym stopniu od tego, jak bardzo inne państwa potrzebują zielonych banknotów. Naturalnie siła gospodarcza jest niczym bez siły politycznej, ale ta ostatnia może się umacniać jedynie dzięki tej pierwszej. Dlatego właśnie bardzo niebezpieczne dla Stanów Zjednoczonych są wszelkie ruchy na międzynarodowej scenie politycznej zmierzające do podważenia statusu dolara i deprecjacji jego siły.

Jeśli jakiś bank centralny drukuje pieniądze i chce w ten sposób zakupywać za granicą dobra, to jego waluta zaczyna się szybko deprecjonować – zagranica nie widzi powodu, aby trzymać się psującej się waluty i przerzuca się na inną. Tak jednak nie jest w przypadku dolarów, ponieważ istnieją ważne instytucjonalne powody – np. organizacja międzynarodowych giełd towarowych – dla zagranicy, aby te dolary trzymać. To sztucznie podbija ich wartość i umożliwia Ameryce ciągłą inflację, przetrucaną na inne kraje. Dlatego też nagłe odejście od dolara przez zagranicę byłoby groźne dla amerykańskiego imperium.

Potwierdzającym to przykładem może być niechęć, z jaką USA patrzy na dywersyfikację rezerw walutowych przez banki centralne dalekowschodnich gigantów. Jednak chyba jeszcze wyraźniejszej ilustracji dostarczyła niedawna interwencja amerykańskich wojsk w Iraku. Stosunkowo rzadko wspomina się o tym, że pod koniec 2000 r. Saddam Husajn zdecydował się przejść na euro w rozliczeniach za ropę, a także wymienić na euro 10 miliardów dolarów irackich rezerw. Chociaż przewidywano, że ten krok przyniesie Irakijczykom ogromne straty, było to w istocie bardzo sprytne posunięcie, gdyż euro umocniło się od tego czasu o ponad 17% w stosunku do dolara. Trudno oczywiście jednoznacznie twierdzić, że krok Husajna był wyłącznym czynnikiem, który zdecydował o wojnie. Z całą pewnością jednak irackie operacje walutowe brano w Waszyngtonie pod uwagę,

inaczej trudno byłoby bowiem wyjaśnić fakt, że gdy tylko usankcjonowała się nowa amerykańska administracja w Iraku, wrócono do rozliczeń dolarowych i szybko rozpoczęto proces powrotu do poprzednich rezerw.

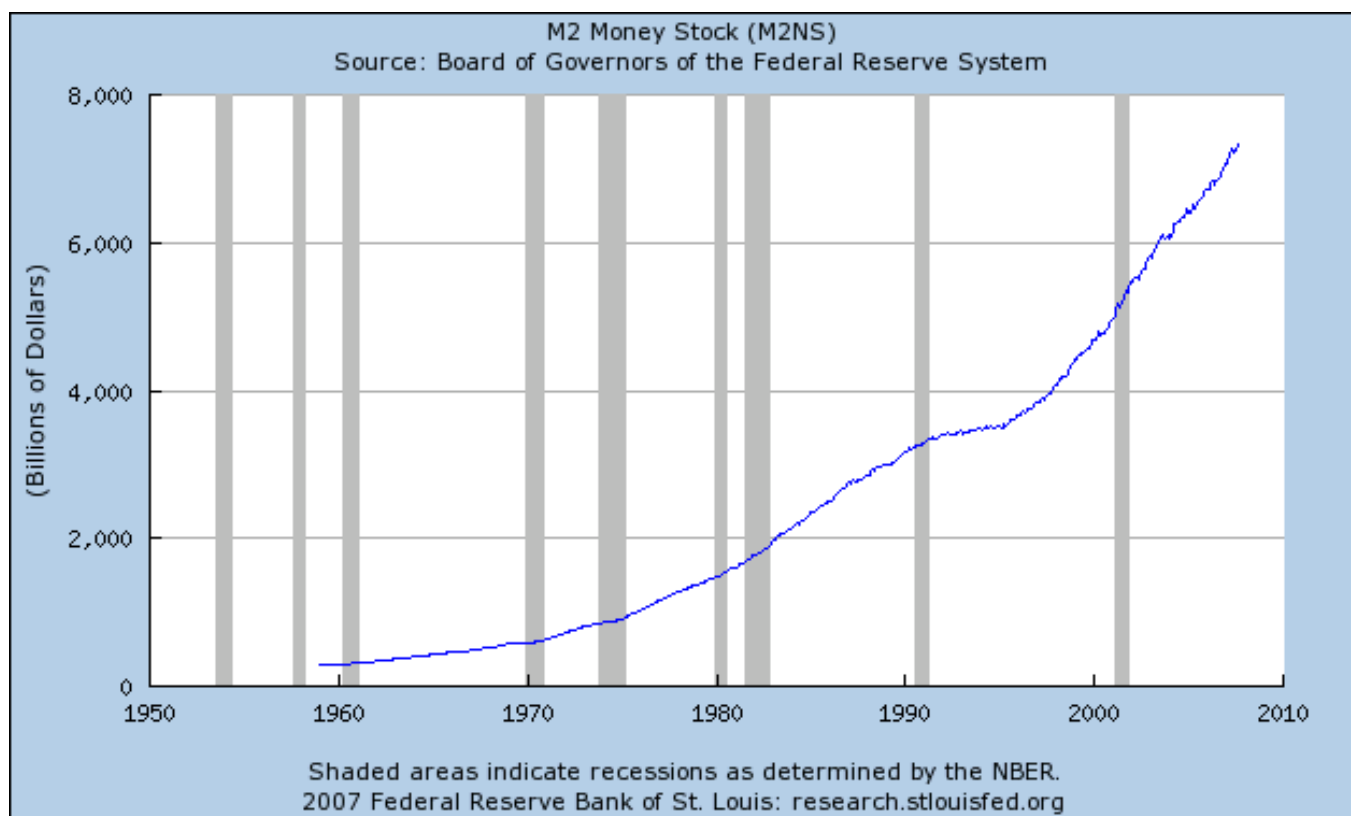
Z podobnego punktu widzenia można patrzeć na obecne napięcie dyplomatyczne na linii USA-Iran. Scenariusz wydarzeń do złudzenia przypomina ten sprzed paru lat. Stany Zjednoczone znów oskarżają państwo bliskowschodnie o tajne rozwijanie technologii służącej do produkcji broni atomowej. Zarzuty przeciwko Iranowi mogą być prawdziwe lub nie (wielu analityków uważa je za całkowicie nieuzasadnione). Faktem pozostają jednak irańskie starania zmierzające do przewalutowania rozliczeń w handlu ropą z dolarów na euro. Jak do tej pory nie został jeszcze zrealizowany plan utworzenia w Iranie giełdy, na której za ropę płaciłoby się wyłącznie w walucie europejskiej, a nie, jak dotąd, amerykańskiej, ale Iran zdołał już (w marcu i wrześniu 2007 r.) mimo to przekonać swych dwóch najpoważniejszych partnerów, Chiny i Japonię, do przejścia na euro i jeny w rozliczeniach handlowych.

Oczywiście kontekst walutowy nie jest jedynym tropem interpretacyjnym polityki bliskowschodniej USA – liczą się także szeroko rozumiane względy geopolityczne, chęć militarnego opanowania regionu i wymuszenia zmiany reżimu, gwarantującej wpływy polityczne i gospodarcze w myśl imperialistycznej zasady *trade follows the flag* (zręcznie ostatnio ujętej przez Thomasa L. Friedmana, który stwierdził, że sieć restauracji McDonald's nie może prosperować bez McDonnell Douglasa, firmy, która stworzyła myśliwca F-15). Na te ostatnie zwrócił niedawno uwagę Alan Greenspan, który stwierdził w wydanych niedawno wspomnieniach *The Age of Turbulance*, że w irackim konflikcie chodziło „głównie o ropę” (co ciekawe, w wywiadzie z 16 września dla stacji telewizyjnej CBS, były szef Fedu kategorycznie zaprzeczył, jakoby to właśnie kwestie energetyczne kierowały wówczas administracją Georga Busha). Nie musi to oczywiście oznaczać, że rząd USA chciał po prostu zagwarantować sobie dostęp do drogiego surowca. Wszak jak z rozbijającą szczerością zeznał przed komisją kongresową w maju 2003 r. z-ca sekretarza obrony Paul Wolfowitz, „przychody z handlu iracką ropą opiewają na 50 do 100 mld dolarów rocznie; mówimy więc o państwie, które samo mogłoby relatywnie szybko sfinansować własną rekonstrukcję”. Rekonstrukcję, dodajmy, w której – jak się później okazało – krocie miał zarobić m.in. Halliburton, firma silnie powiązana z wiceprezydentem Cheneyem.

Polityka bliskowschodnia USA wiąże się także z polityką wobec Unii Europejskiej, wciąż niedojrzałego, ale coraz bardziej ambitnego aktora na deskach światowe-

go teatru. Jak celnie zauważył kiedyś Noam Chomsky, stosunek Ameryki do Europy był zawsze szalenie ambiwalentny. Z jednej strony Stany wspierają instytucjonalne zjednoczenie Europy, bo gwarantuje ono większy rynek dla amerykańskich korporacji i ułatwia proces podejmowania decyzji politycznych (swego czasu Henry

Kissinger, sekretarz stanu w administracji prezydentów Nixona i Forda, narzekał, że jak chce rozmawiać z Europą, to nie ma do kogo zadzwonić). Z drugiej strony, Ameryka zawsze usiłowała robić wszystko, aby zapobiec powstaniu prawdziwej i trwałej unii, bo to z kolei sta-



Ryc. Wzrost ilości pieniądza w gospodarce amerykańskiej przez ostatnich 50 lat.

nowiłoby poważne zagrożenie polityczne. Stąd właśnie konsekwentne wspieranie państw „nowej” Europy – tzn. „sojuszników” USA w walce z terroryzmem – przeciwko państwom „starej” Europy, krytycznym wobec amerykańskich zakusów (podział wprowadzony notabene przez sekretarza obrony USA Donalda Rumsfelda).

#### Postscriptum, czyli o nieuchronnym kryzysie

Gwałtowny rozwój wydarzeń na arenie międzynarodowej przyćmiewa nieco fakt, że cena złota dawno już zaczęła bić rekordy, wspinając się poziom ok. 730 dolarów (wzrost o blisko 100 USD w ciągu niespełna trzech ostatnich miesięcy), a amerykańska waluta nigdy jeszcze w historii nie była tak słaba w porównaniu z euro. W dodatku niedawne problemy na rynku kredytowym w USA i wymuszona nimi reakcja Fedu pokazały dobitnie, że prezes Ben „Helikopter” Bernanke, będzie szedł tropem swojego poprzednika, Alana Greenspana, konsekwentnie zwiększając podaż pieniądza w gospodarce.

Greenspan wykreował bowiem jeden z największych sztucznych boomów w historii Stanów Zjednoczonych. Drukowanie przez podległy mu bank pieniądza doprowadziło do okresu fałszywej prosperity zakończonego na początku dwudziestego pierwszego wieku recesją. Odpowiedzią prezesa Fed nie było jednak, mogące rzeczywiście uzdrowić sytuację, skurczenie podaży pieniądza, ale dalszy jego dodruk, który po drobnych tarcich ponownie spowodował papierowe ożywienie rynków. Tak, papierowe, bowiem jedynym jego efektem było – i jest nadal – zwiększenie zadłużenia i sztuczna wyżka na rynku nieruchomości.

Nikt nie zaprzecza, że ceny akcji od recesji w 2001 r. stale rosły. Jednakże rosły tylko dlatego, że Fed ciągle drukował dolary i nie był to wcale sygnał prawdziwej prosperity, ale wspomnianego już papierowego ożywienia. Jeśli bowiem spróbujemy „urealnić” ceny akcji spółek amerykańskich, przyrównując je na przykład do cen złota, to okaże się, że w rzeczywistości spadają systematycznie od kilku lat. Nawet już zresztą w tej chwili moż-

na zaobserwować na rynku tendencję odchodzenia od aktywów finansowych w stronę twardego rynku dóbr (jak w przypadku złota, które naszym zdaniem będzie się dalej pięło w górę).

Historia imperiów uczy nas tego, że muszą opierać na inflacji. Teoria uczy nas zaś, że choć inflacja może pomóc zbudować imperium, to niepoohamowana musi doprowadzić także do jego końca. Jednak pytanie, czy kryzys amerykański wyniknie z krajowej polityki monetarnej, czy załamania się dolara na rynku międzynarodowym, dalej pozostaje otwarte. Pewne jest tylko to, że ogromne nadwyżki zielonego papieru zaczynają ciążyć już i w samych USA, i za granicą. Świadczyć o tym mogą wspomniane już wcześniej decyzje azjatyckich tygrysów o dywersyfikacji rezerw walutowych (niedawno także Syria odwróciła się od dolara, przedstawiając w handlu zagranicznym na euro) oraz decyzja amerykańskiego banku centralnego – najwyraźniej silnie zaniepokojonego obrotem spraw – o zaprzestaniu publikowania danych dotyczących agregatu pieniężnego M3.

Nie jesteśmy oczywiście w stanie przedstawić pełnej prognozy rozwoju sytuacji. Jesteśmy natomiast pewni, że przy obecnej polityce dolar będzie musiał się w końcu załamać. Kwestia czym dokładnie – jaką roszadą na międzynarodowej scenie politycznej – się to skończy pozostaje otwarta. Historia pokazuje, że przyparte do muru imperia agresywnie włączają się w wojny – w końcu to najlepszy okres do zawieszenia spłaty długu i dalszego wzmocnienia globalnego etatyzmu. Można przy tym jednocześnie stosować inne sztuczki – na przykład

ostemplować dolary zagraniczne jako nieakceptowane w USA. Wtedy ewentualne dolary krążące poza Stanami (a stanowią one znaczny odsetek amerykańskiego PKB), te same dolary dzięki którym USA stworzyły sobie ogromny deficyt handlowy, zostaną przez amerykańskie władze uznane za bezwartościowe. Taki krok w dużym stopniu zależałby jednak od siły politycznej, która w feralnym momencie będą mogły wykorzystać USA. Tak czy inaczej, w pewnym stopniu przed kryzysem może się uchronić każdy z nas, kupując za posiadane oszczędności złoto. Mimo swojej rekordowej ceny, pozostaje ono obecnie najlepszą inwestycją – najlepszą, bo okaże się nietrafioną tylko wówczas, gdy sytuacja na świecie będzie naprawdę bardzo dobra.

Staraliśmy się nakreślić socjologiczno-ekonomiczną teorię powstawania wielkiego państwa i światowego imperium. Pokazaliśmy, że wielki rząd nie mógł i nie może istnieć bez ściągania ze swych obywateli jakiegoś rodzaju podatku, którego jednym z rodzajów jest inflacja – wzrost podaży pieniądza ponad posiadane zasoby kruszcu. Ta sama zasada jest prawdziwa dla każdej potęgi imperialnej, dla której inflacja i opodatkowanie podległych państw jest jak morfina podtrzymująca przy życiu niezdolne do życia ciało. Inflacja zapewnia dopływ gotówki, sprawia, że pieniądze na nowe wydatki, na wsparcie bankrutów czy na dalszą redystrybucję środków spadają praktycznie za nic prosto z nieba. Import zagranicznych dóbr za cenę wydrukowania zielonych banknotów dał początek i umożliwił rozwój Imperium Americanum. Wiele wskazuje jednak na to, że może doprowadzić także do jego końca.

## Prawdziwa twarz globalnego terroryzmu<sup>1</sup>

Noam Chomsky

Zanim pył po atakach z 11 września zdążył na dobre opaść, ich ofiara już wypowiedziała „wojnę” terroryzmu. Wojnę nie tylko przeciw domniemanym sprawcom, lecz także państwom, w których mieli oni przebywać, a także krajom oskarżonym o aktywne wspieranie terroryzmu. Prezydent Bush poprzysiągł „uwolnić świat od złoczyńców” oraz obiecał, że „nie pozwoli złu zatryum-

fować”. Jego słowa stanowiły bezpośrednie nawiązanie do słów Ronalda Reagana z 1985 r. o „nikczemnej plądze terroryzmu”, a dokładniej – wspieranego przez państwo terroryzmu międzynarodowego. To zobowiązanie stało się główną zasadą amerykańskiej polityki zagranicznej od momentu objęcia władzy przez administrację Reagana<sup>2</sup>.

Główną arenę pierwszej wojny przeciwko terroryzmowi stanowił obszar Bliskiego Wschodu oraz Ameryki Środkowej, z Hondurasem jako naczelną bazą dla

<sup>1</sup> Oryginał artykułu ukazał się w książce pod redakcją Kena Bootha i Tima Dunne *Worlds in Collision: Terror and the Future of Global Order* (Palgrave/Macmillan 2002). Tłumaczenie Marcin M. Sołtyś.

<sup>2</sup> *New York Times*, 18.10.1985.

amerykańskich operacji. Przygotowaniami do drugiej wojny z terroryzmem zajęły się osoby dobrze już znane z administracji Reagana – sprawy wojskowości powierzono Donaldowi Rumsfeldowi, który pracował wcześniej jako specjalny przedstawiciel Ronalda Reagana na Bliżni Wschód, zaś wsparcie dyplomatyczne w ONZ miał zapewnić John Negroponte – ambasador w Hondurasie za czasów Reagana.

Oczywiście potępienie terroryzmu jest w pełni uzasadnione, jednak nie zwalnia nas to od obowiązku zadania kilku pytań. Po pierwsze: co rozumiemy pod terminem „terroryzm”? Po drugie: Jaka powinna być właściwa reakcja na akt terroru? Odpowiedź na którekolwiek z tych pytań musi spełniać przynajmniej elementarny warunek moralny: jeśli nasi przeciwnicy zobowiązani są stosować się do pewnej określonej zasady, to, co oczywiście, musimy być świadomi, że naszym obowiązkiem jest przestrzegać owej zasady w tym samym stopniu. Trudno brać poważnie kogoś, kto rości sobie prawo rozstrzygać, co jest dobre, a co złe, gdy nie jest nawet w stanie osiągnąć tego minimalnego poziomu uczciwości.

Zdefiniowanie, czym jest „terroryzm” nie jest zadaniem łatwym. Jednakże można się natknąć na definicje uczciwie i klarownie sformułowane. Za przykład niech stanowi podręcznik dla armii amerykańskiej, która definiuje terroryzm jako „użycie siły bądź groźby użycia siły obliczone na osiągnięcie, dzięki zastraszeniu, przymusowi bądź wzbudzeniu uczucia strachu, celów politycznych, religijnych lub ideologicznych”<sup>3</sup>

Definicja taka zyskuje dodatkowo na wiarygodności jeśli wziąć pod uwagę datę jej sformułowania. Została ona bowiem stworzona w momencie nasilenia się działań administracji Reagana wymierzonych w terrorystów. Świat nie zmienił się aż tak bardzo, by ta precedensowa definicja straciła na swojej ważności, nie wspominając już o tym, że przecież wielu przywódców pierwszej wojny z terroryzmem komenderuje w jej współczesnej reinkarnacji.

Pierwsza wojna spotkała się ze zdecydowanym poparciem. Zgromadzenie Ogólne ONZ potępiło międzynarodowy terroryzm już dwa miesiące po deklaracji Ronalda Reagana, a następnie jeszcze w 1987 r. – tym razem w bardziej zdecydowanej i bezpośredniej formie<sup>4</sup>.

Poparcie nie było jednak jednomyślne. Rezolucja z 1987 r. przeszła 153 głosami, dwa państwa głosowały przeciw, a Honduras wstrzymał się od głosu. USA i Izrael tłumaczyły swoje głosy przeciw poważną wadą rezolucji, tj. zdaniem, że w żaden sposób nie neguje ona

„prawa do samostanowienia, wolności i niepodległości, o którym mowa w Karcie Narodów Zjednoczonych jakiegokolwiek narodu, który siłą został pozbawiony tego prawa (...), szczególnie narodom okupowanym, bądź rządzonym przez kolonialne czy rasistowskie reżimy(...)”. Zdanie to odczytano jako ewidentną aluzję do walczącego z południowoafrykańskim apartheidem Afrykańskiego Kongresu Narodowego<sup>5</sup> (RPA było ówczesnym sojusznikiem USA, zaś AKN oficjalnie uznawano za „organizację terrorystyczną”) oraz do blisko dwudziestoletniej, nieakceptowanej przez świat, a aktywnie wspieranej przez amerykańskie wysiłki dyplomatyczne i amerykańską siłę militarną, okupacji izraelskiej. Przepuszczalnie z powodu amerykańskiego sprzeciwu, rezolucja ONZ przeciwko terroryzmowi nie spotkała się z żadnym odzewem<sup>6</sup>.

Deklaracja Reagana z 1985 r. odnosiła się wyraźnie do bliskowschodnich aktów terroru, wybranych przez Associated Press wydarzeniem roku 1985. Jednakże sekretarzowi stanu Georgowi Shultzowi<sup>7</sup>, przedstawicielowi umiarkowanego skrzydła w administracji Reagana, ten „najbardziej alarmujący” przejaw „wspieranego przez państwa terroryzmu”, owa plaga rozpowszechniająca się dzięki staraniom „zdeprawowanych przeciwników cywilizacji jako takiej”, których celem jest barbaryzacja współczesności”, wydała się przerażająco bliska granic USA. Jak poinformował Kongres Schultz, „właśnie tutaj, na naszej ziemi”, istnieje rak gotowy do pod-

<sup>5</sup> Afrykański Kongres Narodowy (The African National Congress, ANC) – założona 8 stycznia 1912 r., lewicowa partia polityczna rządząca RPA od 1994 r., wcześniej organizacja wyzwoleńcza ludności afrykańskiej i jeden z największych, najstarszych i najsilniejszych organizacji tego typu w nowożytnej historii Afryki.

Po delegalizacji w 1960r. wśród części młodych działaczy ANC (m. in. Mandela) narodziła się koncepcja walki zbrojnej z reżimem apartheidu. W okresie od X 1961 do VI 1963 skrzydło zbrojne ANC dokonało 190 ataków sabotażu. Organizacja otrzymywała poparcie ze strony wielu krajów afrykańskich głównie, a także Kuby, ZSRR oraz partii socjaldemokratycznych z krajów skandynawskich. Pod koniec listopada 1976 roku kierownictwo ANC podjęło decyzję o podjęciu akcji zbrojnych przeciw reżimowi apartheidu. Walka była prowadzona w postaci ataków na wojsko, policję i obiekty o znaczeniu gospodarczym. Wśród ofiar śmiertelnych antyrządowych zamachów (w wyniku podkładania min i bomb) było również kilkudziesięciu przypadkowych białych cywili (według niektórych danych 65 osób). Łącznie liczbę zabitych w akcjach zbrojnych ANC oblicza się na 197 osób. Dwóch przywódców ANC otrzymało pokojową nagrodę Nobla: Albert John Luthuli, (przewodniczący Kongresu w latach 1952-1967) i Nelson Mandela (1993) [przyp. tłum.]

<sup>6</sup> Zob. N. Chomsky, *Necessary Illusions* (Boston: South End, 1989), rozdz. 4; N. Chomsky [w:] Alex George, (red.), *Western State Terrorism* (Cambridge: Polity/Blackwell, 1991)

<sup>7</sup> George Pratt Shultz (ur. 13 grudnia, 1920) - amerykański polityk, dyplomata i ekonomista, jeden z doradców ekonomicznych Dwighta Eisenhowera, od 1969 do 1970 sekretarz pracy, a od 1972 do 1974 sekretarz skarbu, w administracji Richarda Nixona. Od 1982 do 1989 sekretarz stanu USA w administracji Ronalda Reagana.

<sup>3</sup> US Army Operational Concept for Terrorism Counteraction (TRADOC Pamphlet Nr. 525-37), 1984 r.

<sup>4</sup> GA Res. 40/61, 9 gru. 1985; Res. 42/159, 7 gru. 1987.]

boju zachodniej półkuli pod sztandarem „rewolucji bez granic”. I choć te czyste wymysły można było bez trudu zdemaskować, to powtarzano je do znudzenia drżącym ze strachu głosem<sup>8</sup>.

Zagrożenie uznano za na tyle poważne, że podczas Dnia Prawa (1 maja) w 1985 r. prezydent nałożył embargo „w odpowiedzi na stan wyjątkowy spowodowany agresywną działalnością rządu Nikaragui w Ameryce Południowej”. Ronald Reagan ogłosił stan kryzysowy, rokrocznie później przedłużany, ponieważ „polityka i działania podejmowane przez rząd Nikaragui stanowią wyjątkowe zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i polityki zagranicznej USA”.

„Niech terroryści – jaki i państwa, które pomagają im w dokonywaniu aktów terroru – służą za ponure przypomnienie, że demokracja jest krucha i trzeba jej czujnie strzec”, przestrzegali Shultz. Musimy „wyciąć nikaraguańskiego raka” i to nie łagodnym, pokojowym sposobem, albowiem „negocjacje to eufemizm dla słowa kapitulacja, jeśli z za stołu negocjacyjnego nie pada cień władzy”, oznajmił Shultz, potępiając równocześnie tych, którzy orędują za „utopijnymi, zgodnymi z prawem środkami, takimi jak negocjacje trójstronne np. z udziałem ONZ lub Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, nie biorąc pod uwagę siłowego składnika równania”. Trzeba nadmienić, że Stany Zjednoczone wykorzystywały ów „siłowy składnik równania” za pośrednictwem sił najemnych rozlokowanych w Hondurasie (operację nadzorował Negroponte) i jednocześnie tak długo blokowały „utopijne, zgodne z prawem działania” podejmowane przez Trybunał Sprawiedliwości oraz grupę z Contradory<sup>9</sup>, aż nie przechylili w końcu szali zwycięstwa na swoją stronę<sup>10</sup>.

Regan oficjalnie potępił „plagę terroru” podczas mającego miejsce w Waszyngtonie spotkania z Szimonem Peresem. Co ciekawe, premier Izraela przybył do USA, aby wezwać świat do walki ze złem krótko po tym jak sam wysłał nad Tunis izraelskie bombowce, które przy pomocy „inteligentnych bomb” zabiły 75 osób i dokonały wielu innych poważnych zniszczeń, o czym informował przebywający na miejscu jeden z czołowych dziennikarzy izraelskich, Ammon Kapeliouk . Waszyngton

<sup>8</sup> Shultz, „Terrorism: The Challenge to the Democracies,” Czerwiec 24, 1984 (State Dept. Current Policy Nr. 589); „Terrorism and the Modern World,” Paździ. 25, 1984 (State Department Current Policy Nr. 629) zob. Jack Spence and Eldon Kenworthy in Thomas Walker, (red.) Reagan versus the Sandinistas (Boulder, London: Westview, 1987)

<sup>9</sup> Zawiązana w 1983r. grupa czterech państw Kolumbii, Meksyku, Panamy i Wenezueli, której celem było osiągnięcie stabilizacji w Ameryce Środkowej w drodze rokowań politycznych [przyp. tłum.]

<sup>10</sup> Shultz, Moral Principles and Strategic Interests,” Kwiecień 14, 1986 (State Department, Current Policy Nr. 820)

miał swój udział w tych wydarzeniach, bowiem nie poinformował władz Tunezji – swego sojusznika – o zbliżającym się nalocie. Shultz zapewnił izraelskiego ministra spraw zagranicznych Icchaka Szamira, że Waszyngton „dąży dużym poparciem działania podejmowane przez Izrael”, ale później odwołał wyrazy poparcia, gdy Rada Bezpieczeństwa jednogłośnie potępiła bombardowania określając je mianem „aktu zbrojnej agresji” (USA wstrzymały się od głosu)<sup>11</sup>.

Drugi kandydat do tytułu na najbardziej ekstremalny akt międzynarodowego terroryzmu na Bliskim Wschodzie w roku 1985 to wybuch samochodu-pułapki w Bejrucie 8 marca. W zamachu zginęło 80, a rany odniosło 256 osób. Bomba została umieszczona w pobliżu meczetu i ustawiono ją tak, aby wybuchła w momencie gdy wierni będą wychodzić na zewnątrz. „Okolo 250 dziewcząt i kobiet w powłóczystych czadorach, tłumnie przybyłych na piątkowe modły w meczecie Imam Rida, najbardziej odczuło siłę wybuchu”, donosiła Nora Boustany. Bomba „żywcem spaliła noworodki”, zabiła „dzieci wracające do domu z meczetu” i „zniszczyła główną ulicę gęsto zaludnioną” dzielnicy zachodniego Bejrutu. Celem ataku był szyicki lider oskarżony o współudział w akcie terrorystycznym<sup>12</sup>, który jednak zdołał uciec. Zbrodni dokonało CIA na spółkę z Saudyjczykami oraz z pomocą wywiadu brytyjskiego<sup>13</sup>. Trzeci kandydat do głównej nagrody to przeprowadzona w Libanie operacja „Żelazna Pięść”, którą zlecił Peres w Marcu 1985 r. Osiągnęła ona niespotykane dotąd poziomy „umyślnej brutalności i jednocześnie całkowitej przypadkowości w wyborze ofiar”. Zachodni dyplomata był świadkiem jak Siły Obronne Izraela ostrzeliwiają wsie, usuwają siłą mężczyzn, zabijają tuziny wieśniaków (nie zapominajmy również o zamordowanych przez powiązane z SOI bojówki paramilitarne), ostrzeliwiają szpitale i wyciągają pacjentów na „przesłuchania”. Można by tak wymieniać bez końca<sup>14</sup>. Dla najwyższego dowództwa SOI były to „wioski terrorystów”, a – jak przekonywał wojskowy korespondent Jerusalem Post (Hirsh Goodman) – operację trzeba było kontynuować, ponieważ SOI odpowiadało

<sup>11</sup> New York Times, paźdz. 17, 18; Kapeliouk, Yediot Ahronot, List. 15, 1985. Foreknowledge, \_Los Angeles Times\_, paźdz. 3; Geoffrey Jansen, Middle East International, Paźdz 11, 1985. Bernard Gwertzman, New York Times, paźdz. 2, 7, 1985.

<sup>12</sup> Mowa o Mohammadzie Husseinie Fadlallahu – szejku, islamista, duchowy przewodnik Hezzbollahu. [przyp. tłum.]

<sup>13</sup> Boustany, Washington Post Weekly, marzec 14, 1988; Bob Woodward, Veil (Simon & Schuster, 1987, 396f)

<sup>14</sup> Guardian, marzec 6, 1985. Zob. N. Chomsky, Middle East Terrorism and the American Ideological System, [w:] Pirates and Emperors (New York: Claremont 1986; Montreal: Black Rose, 1988), przedrukowane w Edward Said and Christopher Hitchens, (red.), Blaming the Victims (London: Verso, 1988).

za „utrzymanie porządku i bezpieczeństwa” w okupowanym Libanie bez względu na „cenę, jaką będą musieli za to zapłacić mieszkańcy”.

Tak jak późniejsza inwazja na Liban z 1982 r., w wyniku której zginęło około 18 tysięcy osób, działanie to nie zostało podjęte w samoobronie, lecz stanowiło środek do osiągnięcia konkretnych celów politycznych, z czego notabene świetnie zdawano sobie sprawę w Izraelu. To samo odnosi się do prawie wszystkich działań podejmowanych przez państwo żydowskie, włącznie



z morderczą inwazją z 1996 r. Pamiętajmy jednak, że wszystkie te operacje nie miałyby miejsca, gdy nie militarne i dyplomatyczne poparcie rządu USA, co z kolei tłumaczy, dlaczego nie znalazły się one w annałach międzynarodowego terroryzmu. W tym kontekście nie powinny już dziwić zbyte całkowitym milczeniem oświadczenia czołowych terrorystów na Bliskim Wschodzie.

Tymczasem nagrodę za rok 1985 jednogłośnie przyznano pamiętnemu porwaniu statku Achille Lauro, podczas którego terroryści brutalnie zamordowali jednego z pasażerów, niejakiego Leona Klinghoffera. Był to bez wątpienia nikczemny akt terroru, ale z całą pewnością – nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że atak na Tunis przyniósł nieporównywalnie większe szkody – nie można go usprawiedliwić żądzą odwetu ani próbami przeprowadzenia ataku wyprzedzającego, mającego na celu powstrzymanie podobnych nalotów. Naturalnie zgodnie z przedstawioną wcześniej zasadą moralną to

samo tyczy się amerykańskich aktów odwetowych czy ataków wyprzedzających.

Najwidoczniej jednak musimy uściślić podawaną w oficjalnych źródłach definicję „terroryzmu”: termin ten odnosi się tylko do aktów terroru skierowanych przeciwko nam; nie tych, których sami jesteśmy sprawcami. Taka podwójna moralność to typowa praktyka, nawet wśród najbardziej zwyrodniałych masowych morderców. Naziści, na przykład, chronili swoich obywateli przed kierowanymi z zagranicy partyzantami, a bezinteresowni Japończycy w pocie czoła wykuwali „raj na Ziemi” walcząc z „chińskimi bandytami”, terroryzującymi spokojny naród i prawowity rząd Mandżurii. Raczej trudno byłoby znaleźć wyjątki od tej reguły.

Nie inaczej ma się rzecz ze wspomnianą wcześniej walką z nikaraguańskim rakiem. W Dzień Prawa 1984 r. prezydent Reagan ogłosił, że tam, gdzie nie ma prawa, istnieje tylko „chaos i nieład”. Dzień wcześniej zaś usłyszeliśmy z jego ust, że USA zlekceważy postanowienia Trybunału Sprawiedliwości, który potępił amerykańską administrację za „bezprawne użycie siły” oraz wezwał Stany Zjednoczone do zaprzestania aktów międzynarodowego terroru i wypłacenia pokaźnych odszkodowań rządowi Nikaragui (czerwiec 1986 r.). Decyzja Trybunału została z pogardą odrzucona, podobnie stało się z późniejszą rezolucją Rady Bezpieczeństwa wzywającą wszystkie kraje do przestrzegania prawa międzynarodowego (zawetowaną przez USA) oraz z kolejnymi rezolucjami Zgromadzenia Ogólnego ONZ (przeciwko którym były USA i Izrael, a w jednym przypadku głos sprzeciwu wyraził również Salwador).

Z chwilą ogłoszenia stanowiska przez Trybunał, Kongres znacząco zwiększył fundusze przeznaczone na angażowanie najemnych bojówek odpowiedzialnych właśnie za „bezprawne użycie siły”. Niedługo potem dowództwo USA rozkazało im atakowanie tzw. miękkich celów, tj. po prostu celów cywilnych pozbawionych zaplecza obronnego, oraz w miarę możliwości unikanie walk z armią nikaraguańską, co było możliwe dzięki amerykańskiej kontroli powietrznej i użyciu zaawansowanych systemów łączności. Dla prominentnych komentatorów życia politycznego taka taktyka była uzasadniona i sensowna o ile tylko pozytywnie spełniała kryterium bilansu kosztów i korzyści, tj. bilansu „ilości przelanej krwi i zadanego cierpienia, a prawdopodobieństwa, że w końcu w Nikaragui nastanie prawdziwa demokracja” – „demokracja” oczywiście w rozumieniu zachodnich elit, której niezwykle obrazowe egzemplifikacje możemy podziwiać w całej Ameryce Łacińskiej<sup>15</sup>.

<sup>15</sup> Zob. N. Chomsky, *Culture of Terrorism* (Boston: South End, 1988)

Doradca prawny Departamentu Stanu Abraham Sofaer tłumaczył wówczas, dlaczego USA miały pełne prawo odrzucić jurysdykcję Trybunału Sprawiedliwości. Otóż dawniej większość członków ONZ „była sprzymierzona z USA i podzielała ich poglądy na kształt porządku światowego”. Jednak wraz z dekoloniacją „większość z nich zaczęła często występować przeciw Stanom w wielu ważnych, międzynarodowych kwestiach”. Tym samym, konieczne jest „zachowanie prawa do decydowania”, jakie działania powinniśmy podjąć oraz jakie zagadnienia międzynarodowe w zasadniczy sposób „wchodzą w zakres spraw wewnętrznych USA”. W tym przypadku mowa o potępionych przez Trybunał Sprawiedliwości i Radę Bezpieczeństwa aktach terrorystycznych wymierzonych w Nikaraguę. Z podobnych powodów USA od lat 1960. są forpocztą wśród państw wetujących rezolucje Rady Bezpieczeństwa dotyczące całego szeregu spraw, a na drugim miejscu w tym rankingu plasuje się Wielka Brytania i kolejno Francja<sup>16</sup>.

Waszyngton prowadził swoją „wojnę z terroryzmem” tworząc na niespotykaną dotychczas skalę sieć międzynarodowego terroru, której śmiertelne efekty dało się odczuć na całym globie. W Ameryce Środkowej kierowany i wspierany przez USA terror osiągnął swoje maksimum w krajach, w których państwowe oddziały militarne zamiast chronić swoich obywateli same stały się główną siłą międzynarodowego terroryzmu. Efekty tego można było prześledzić dzięki konferencji zorganizowanej przez salwadorskich jezuitów w 1994 r., których doświadczenia z okresu „wojny z terroryzmem” było szczególnie przerażające<sup>17</sup>.

Raport z konferencji skupiał się szczególnie na efektach „kultury terroru...”, która osuwając z terrorem bezpośrednio wpływa na większość, modelując jej oczekiwania i sądy, które przez to znacząco różnią się od świadomości obywateli potężnych państw”. Tę uwagę odnośnie do skuteczności czy wpływu państwowego terroru powinniśmy poprzeć konkretnymi przykładami. Otóż na przykład w Ameryce Łacińskiej ataki z 11 września zostały surowo potępione, jednak wielokrotnie dało się słyszeć głosy, że takie akty terroru nie są niczym nowym. Można je opisać jako „Armagedon”, jak uczyniło to czasopismo uniwersytetu jezuickiego w Managui, ale Nikaragua za sprawą USA „przeżyła swój własny Armagedon, który przypominał przerażający film puszczony

<sup>16</sup> Juan Hernandez Pico, Envío (Universidad Centroamericana, Managua), marzec 1994

<sup>17</sup> Envío, paźdz. 2001. O skutkach wojny domowej w Nikaragui zob. Thomas Walker i Ariel Armony (red.), *Repression, Resistance, and Democratic Transition in Central America* (Wilmington: Scholarly Resources, 2000)

w zwolnionym tempie”, a którego „ponure skutki odczuwa po dziś dzień”. Inne państwa zapłaciły jeszcze większą cenę będąc ofiarami niespotykanej wcześniej plagi państwowego terroru, która rozlała się po całym kontynencie z początkiem lat 1960., a której źródła można w wielu przypadkach szukać w Waszyngtonie<sup>18</sup>.

Nie powinno więc dziwić, że amerykańskie wezwanie do poparcia wojny-zemsty za 11 września spotkało się z tak słabym odzewem w Ameryce Łacińskiej. Według badań przeprowadzona przez Instytut Gallupa poparcie dla użycia siły militarnej zamiast ekstradycji osób odpowiedzialnych za zamach rozciąga się od 2 (Meksyk) do 11 procent (Wenezuela i Kolumbia). Głosem potępiającym atak z 11 września często towarzyszyły wspomnienia własnego cierpienia. Przywoływano nalot na latynoską dzielnicę Chorillo w Panamie w grudniu 1989 r. za rządów Georga Busha seniora, w wyniku którego śmierć poniosło według niektórych szacunków nawet kilku tysięcy najbiedniejszej mieszkańców miasta. Dokładna liczba ofiar nie jest znana, ponieważ, jak to zwykle bywa w przypadku zbrodni dokonanych przez państwa zachodnie, okoliczności i skutki bombardowania nigdy nie zostały dokładnie zbadane. Nalot został dokonany w ramach operacji „Z pełnym prawem”, której celem było porwanie nieposłusznego rzezimieszka skazanego potem na dożywocie w więzieniu na Florydzie za zbrodnie, które w większości popełnił w okresie kiedy znajdował się na liście płac CIA<sup>19</sup>.

Lista podobnych przypadków sięga aż po czasy współczesne, zmienia się jedynie pretekst bądź zastosowana taktyka. Co więcej, spis głównych odbiorców amerykańskiej broni jest wystarczającym dowodem podwójnych standardów, bowiem jest niebywale podobny w swej treści do listy państw wymienianych w raportach dotyczących łamania praw człowieka.

Trudno się więc dziwić deklaracji prezydenta Busha, który oznajmił Afgańczykom, że bombardowania będą kontynuowane dopóki nie wydadzą USA osób podejrzewanych o terroryzm (odmawiając równocześnie przedstawienia dowodów i odrzucając wstępne oferty negocjacji). Nie powinno również dziwić, że gdy po trzech tygodniach bombardowań określono nowe cele wojenne, admirał Michael Boyce, szef sztabu brytyjskiej armii, ostrzegł, że ataki koalicji USA-Wielka Brytania będą kontynuowane dopóki „Afgańczycy zrozumieją, że musi dojść w ich kraju do całkowitej zmiany rządzących”. Innymi słowy, USA i Wielka Brytania nie ustaną

<sup>18</sup> Envío, paźdz. 2001; panamski dziennikarz Ricardo Stevens, NACLA, Report on the Americas, List/Grudz 2001

<sup>19</sup> Envío, paźdz. 2001; panamski dziennikarz Ricardo Stevens, NACLA, Report on the Americas, List/Grudz 2001

dopóki „dzięki działaniom, w które wkalkulowana jest przemoc nie osiągną celów, które ze swej natury są celami politycznymi”, co wyczerpuje oczywiście w pełni definicję międzynarodowego, choć, jak to zwykle bywa, nikt nie ma zamiaru nazwać rzeczy po imieniu. Usprawiedliwienie jest w zasadzie identyczne do tego, jakie przedstawia się w przypadku amerykańsko-izraelskich operacji terrorystycznych w Libanie. Admirał Boyce w zasadzie powtarza słowa czołowego izraelskiego męża stanu Abba Ebana, komentującego decyzję Ronalda Reagana o wypowiedzeniu wojny terrorystom. Otóż

odnosząc się do odpowiedzialności premiera Menachema Begin za potworności, jakie miały miejsce w Libanie za jego rządów, a jakich nie powstydzilyby się reżimy, o których ani Begin, ani on „nie chcieliby nawet z nazwy wymienić”, Eban uznał wprawdzie odpowiedzialność Begin, lecz dodał, że „istniała uzasadnione, z czasem zresztą potwierdzone, przesłanki, że ludność Libanu wyrzuci presję i doprowadzi do zaprzestania wszelkich wrogich działań”<sup>20</sup>.

Takie wybiegi retoryczne stały się już właściwie normą, podobnie zresztą jak posługiwanie się terrorem, kiedy tylko zostanie to uznane za stosowne. Terrorem, dodajmy, którego skuteczność jest fetowana bez żadnego zażenowania. Spustoszenia, jakie pozostawiły po sobie amerykańskie akcje terrorystyczne w Nikaragui, jak to określiła prasa, „zjednoczyły Amerykanów w poczuciu radości”. Masakrę setek tysięcy Indonezyjczyków w 1965 r., głównie bezrolnych chłopów, powitano z nieukrywaną euforią, podobnie jak z radością odnotowano fakt, że Waszyngton skutecznie ukrył przed światem swoją rolę tych zajściach, by nie wpędzić w zażenowanie „umiarkowanych środowisk indonezyjskich” (tj. przeciwników Sukarno – przyp. red.), którzy oczyścili swój naród z niepożądanych elementów, fundując jednocześnie Indonezji „masową rzeź, tak straszną, że trudną do wyobrażenia”<sup>21</sup> i porównywaną przez CIA do zbrodni Stalina, Hitlera czy Mao<sup>22</sup>. Podobnych przykładów jest bardzo wiele i stąd może nawet nieco dziwić, dlaczego haniebna radość Osamy bin Ladena z zamachów z 11 września została przyjęta z takim pełnym zgorszenia zaskoczeniem. Wątpliwości takie grzeszyłyby jednak niezmierną naiwnością. Wszak nie można zapominać o podstawowej zasadzie, na jakiej opiera się polityka, tj., że ich terror jest zawsze zły, a nasz – szlachetny.

<sup>20</sup> Jerusalem Post, 16 sierpień 1981

<sup>21</sup> Szacuje się, że w wojnie domowej w 1965 r. roku około 0,5 miliona Indonezyjczyków zostało wymordowanych przez żołnierzy i policję. Zob. John Roosa i Joseph Nevins, Mass Killings in Indonesia, [w:] <http://www.counterpunch.org/roosa11052005.html>

<sup>22</sup> Zob. N. Chomsky, *Necessary Illusions and Detering Democracy* (London: Verso, 1991); Year 501 (Boston: South End), 1993

Według oficjalnych definicji terroryzm jest bronią słabych – nic bardziej błędnego! Jak w przypadku prawie każdego rodzaju broni, także i w dziedzinie terroryzmu to potężni uzyskali nieporównywalnie straszniejsze rezultaty. Wówczas jednak nie jest to już terroryzm, tylko „kontrterror” – ewentualnie „działania wojenne na małą skalę” lub „samoobrona” – który jeśli tylko okaże się skuteczny, natychmiast staje się dodatkowo „racjonalny” i „pragmatyczny”, a przy tym stanowi doskonałą okazję, aby „zjednoczyć się w radości”.

Zastanówmy się teraz nad kwestią właściwej reakcji na akt terroru, mając na uwadze podstawowe truizmy moralne. Jeśli na przykład zaakceptujemy opinie wyrażone przez admirała Boyce’a, to jednocześnie musimy przyznać, że ofiary zachodniego państwowego terroryzmu mają prawo odpowiedzieć pięknym za nadobne. Oczywiście taką konkluzję uznano by za skandaliczną. Niemniej jeśli tak, to sposób postępowania z oficjalnymi wrogami również należy uznać za skandaliczny, tym bardziej jeśli zdamy sobie sprawę z faktu, że dowództwo amerykańskie zdecydowało się na takie działania, które miały narazić życie możliwie największej liczby osób. A żadne władze nie zakwestionowały dotąd szacunków ONZ, według których „7,5 miliona Afgańczyków może głodować podczas nadchodzącej zimy – o 2,5 miliona więcej niż w okresie ataków z 11 września”<sup>23</sup>. Wzrost o 50 procent wynikał początkowo z groźby ataków bombowych, potem z wojennej rzeczywistości oraz ogromnych zniszczeń, których okoliczności, jak już wiele razy udawadniała to historia, zapewne nigdy nie zostaną bliżej wyjaśnione.

Inną możliwą reakcją na ataki na Nowy York, wysuniętą między innymi przez Watykan, przedstawił historyk wojskowości Michael Howard. Otóż zaproponował on „operację policyjną prowadzoną pod auspicjami ONZ (...) skierowaną przeciwko przestępczej siatce, której członkowie powinni być namierzeni, schwytani i doprowadzeni przed oblicze międzynarodowego trybunału, gdzie będą mogli liczyć na uczciwy proces, a jeśli zostaną skazani – zostanie wymierzona im sprawiedliwa kara”<sup>24</sup>. Propozycja ta, mimo że nigdy nie brana na poważnie pod uwagę, wydaje się całkiem rozsądna, a skoro tak, to powinna się stosować nie tylko do wschodniego, ale także do zachodniego terroryzmu, choć oczywiście tego tym bardziej nie wzięto by nigdy na poważnie pod uwagę, z całkiem już innych powodów.

<sup>23</sup> Elisabeth Bumiller i Elizabeth Becker, *New York Times*, 17 paźdz 2001

<sup>24</sup> *Foreign Affairs*, styczeń/luty 2002; Zob. Tania Branigan, *Guardian*, 31 paźdz 2001

Wielokrotnie próbowano zdefiniować pojęcie „wojny sprawiedliwej”, tak aby usprawiedliwić określenie tym mianem operacji w Afganistanie. Warto przyjrzeć się bliżej efektom tych starań stosując doń miarę wspomnianej już podstawowej zasady moralnej i zamieniając jednocześnie strony konfliktu miejscami. Już na pierwszy rzut oka widać brak symetrii: samo odniesienie pojęcia „sprawiedliwa wojna” do działań wymierzonych w zachodni terroryzm państwowy zostałoby natychmiast uznane za absurdalne, jeśli nie wręcz podle. Można by na przykład pokusić się o analizę działań amerykańskich przeciwko Nikaragui w oparciu o definicję wojny sprawiedliwej. Działania, dodajmy, które jako jedne z niewielu doczekały się jednoznacznej oceny przez najwyższe gremia międzynarodowe (oczywiście jednoznaczność tej oceny podzielana jest tylko przez kraje, które mają choć minimum poważania dla prawa międzynarodowego i zobowiązań traktatowych). Byłby to z pewnością bardzo pouczający eksperyment.

Podobne problemy pojawiają się w związku z innymi aspektami wojny z terroryzmem. Debatowano na przykład nad tym, czy wojna, jaką wypowiedziały Afganistanowi rządy USA i Wielkiej Brytanii była uprawniona w świetle dość niejednoznacznych rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Jest to oczywiście kwestia bez znaczenia, gdyż USA mogłyby i tak, prędzej czy później, uzyskać całkiem jednoznaczne przyzwolenie na podjęcie działań zbrojnych (notabene nie powinno też wydać się dziwne, dlaczego Rosja i Chiny ochoczo dołączyły do koalicji). Jednak Stany Zjednoczone nie czekały na odpowiednią rezolucję, przypuszczalnie po to, aby nie pozostawić wrażenia, że istnieje jakaś wyższa, nadrzędna wobec nich władza, z którą rząd amerykański powinien się liczyć. Na coś takiego państwo o takiej sile nie może sobie przecież pozwolić. Istnieje nawet w języku dyplomacji i stosunków międzynarodowych specjalne określenie na taką postawę: zdobywanie „wiarygodności”. Tak standardowo i oficjalnie tłumaczą się ci, którzy uciekają się do przemocy – na co niedawnym przykładem mogą być choćby naloty na Serbię. Fakt, że odrzucono ofertę pertraktacji mających na celu ekstradycję podejrzanych sprawców zamachów z 11 września opiera się właśnie na takim myśleniu.

Także i tę kwestię można przeanalizować pod kątem podstawowej zasady moralnej. Amerykanie odmawiają ekstradycji terrorystów, nawet jeśli ich wina jest niepodważalna. Wystarczy tutaj wspomnieć sprawę Emmanuela Constanta<sup>25</sup>, lidera haitańskich bojówek paramili-

tarnych, który jest odpowiedzialny za tysiące morderstw dokonanych na początku lat dziewięćdziesiątych, za czasów rządów junty wojskowej. Wprawdzie Waszyngton oficjalnie potępił haitańską dyktaturę, ale jednocześnie po cichu ją wspierał, krytykując embargo Organizacji Państw Amerykańskich oraz potajemnie umożliwiając dostawę ropy na Haiti. Constant został skazany zaocznie przez haitański sąd, zaś wybrany w wyborach rząd wielokrotnie wzywał USA, by oddały go w ręce tamtejszego wymiaru sprawiedliwości, ponawiając swoją prośbę 30 września 2001 r., dokładnie w tym samym czasie, kiedy Waszyngton z pogardą odrzucił ofertę Talibów w sprawie ekstradycji bin Ladena. Prośba Haiti została wówczas po raz kolejny zignorowana. Odmowa bierze się najprawdopodobniej z faktu, że Constant mógłby wyjawiać powiązania rządu USA z juntą rządzącą wtedy na Haiti. Jednak czy daje to Haiti prawo do użycia siły, aby wymusić ekstradycję i postąpić tak, jak postąpił z Afganistanem Waszyngton? Jest to oczywiście niedorzeczność, która po raz kolejny dowodzi łamania przez USA podstawowych zasad moralnych.

Nader łatwo jest podać podobne przykłady<sup>26</sup>. Weźmy chociażby Kubę, państwo będące najprawdopodobniej jednym z głównych celów działań terroryzmu międzynarodowego, o niezwyklej skali i charakterze, prowadzonych od roku 1959 do końca XX w. Część z nich została ujawniona w dokumentach dotyczących przeprowadzonej przez administrację Kennedy'ego „Operacji Mangusta”. Tak długo, jak długo było to możliwe, usprawiedliwiano działania te usprawiedliwiano zimną wojną. Jednak w kręgach najwyższych władz amerykańskich prawdziwe powody były powszechnie znane. Arthur Schlesinger przedstawił swoje wnioski na temat misji w Ameryce Łacińskiej obejmującemu władzę prezydentowi w następujący sposób: zagrożenie kubańskie polega na „rozpowszechnieniu się pomysłu Castro, żeby brać sprawy w swoje ręce”; może to pobudzić „biednych i społecznie nieuprzywilejowanych w wielu krajach do wyciągnięcia rąk po szanse na godne życie” – chodzi o efekt „wirusa” czy „zgniłego jabłka”, jak to określano na najwyższych szczeblach władzy. Kubę sprytnie wpleciono w zimnowojenny kontekst, podkreślając, że dzieje się to właśnie w momencie, gdy „Związek Radziecki dostał skrzydeł, udziela na lewo i prawo ogromnych pożyczek inwestycyjnych i stroi się w piórka modelowego państwa, które w ciągu jednego pokolenia dokonało całkowitej modernizacji”<sup>27</sup>.

<sup>25</sup> Dowódca grup paramilitarnych FRAPH kooperujących z CIA, odpowiedzialnych za zamordowanie około czterech tysięcy ludzi. [przyp. tłum.]

<sup>26</sup> Zob. George, \_op. cit.\_. Wyjątki są bardzo rzadkie, a reakcjom jakie wywołały daleko do bezinteresowności

<sup>27</sup> FRUS, 1961-63, vol. XII, American Republics, 13f., 33

Prawdą jest, że mało kto wie o wyczynach międzynarodowego terroryzmu, nawet tych całkiem poważnych – zostały one zwyczajowo wykluczone z katalogu aktów terrorystycznych. Ale założmy, że będziemy się trzymać oficjalnej definicji. Jak, według teorii „sprawiedliwej wojny” oraz adekwatnej reakcji, pozwolono Kubbie zareagować?

Można oczywiście określić międzynarodowy terroryzm jako plagę, którą roznośzoną przez „zdeprawowa-

nych przeciwników cywilizacji jako takiej”. Przy tym zobowiązanie, by „wyplenić zło z tego świata” można by nawet potraktować poważnie, ale pod jednym warunkiem – ci, którzy się do tego zabierają muszą pamiętać, że postępując w określony sposób dają automatycznie przyzwolenie drugiej stronie, by mogła działać analogicznie; muszą pamiętać o tej podstawowej zasadzie moralnej. W przeciwnym wypadku wszystkie ich deklaracje będą całkowicie niedorzeczne.

## Polska: Z tarczą czy na tarczy?<sup>1</sup>

*Juliusz Jabłecki*

<sup>1</sup>Podczas swojej niedawnej wizyty w Stanach Zjednoczonych, prezydent Lech Kaczyński po spotkaniu z Georgem Bushem oświadczył, że sprawa budowy w Polsce amerykańskiego systemu obrony raketowej jest w zasadzie „przesądzona” i chociaż szczegóły dotyczące dokładnego rozmiaru bazy oraz liczby stacjonujących żołnierzy amerykańskich wymagają dalszych rozmów, to tarcza „bez wątpienia zostanie zbudowana, bowiem stanowi wielką korzyść dla Polski”<sup>2</sup>.

Odczuwalna w tym oświadczeniu, jakby wyjęta z powieści Kundery, „nieznośna lekkość” jest cokolwiek zastanawiająca, szczególnie, jeśli wziąć pod uwagę wypowiedź, jakiej udzielił niecały rok temu poprzedni minister obrony narodowej, przyznając otwarcie, że zgoda na amerykańską tarczę „wiązałaby się z dużym ryzykiem”<sup>3</sup>.

Najwidoczniej ryzyko nie było jednak aż tak duże skoro nie wywołało większego poruszenia w mediach ani nie wzmogło większego zainteresowania opinii publicznej. W Polsce – inaczej niż w przypadku Czech, które również wyraziły zgodę na budowę części finansowanego przez Amerykanów systemu obrony – nie przeprowadzono żadnego referendum, nawet we wsiach i miastach północnej Polski, gdzie bazy mają zostać zlokalizowane oraz nie odbyły się żadne większe manifestacje sprzeciwiające się budowie tarczy. Można odnieść wrażenie, że cały naród jednogłośnie zaakceptował plany rozmieszczenia tarczy. Próżno było szukać jakiegokolwiek głosu sprzeciwu, a krytyka tych, którzy wy-

razili swój sprzeciw nie spotkała się z odzewem na jaki zasługiwała.

Za doskonałą ilustrację takiego stanu rzeczy może służyć niedawna dymisja Romana Kuźniara, politologa, a do lutego 2007r., także dyrektora państwowego ośrodka badań naukowych, Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych (PISM). Jako szef PISM, Kuźniar przygotował ekspertyzę dla najwyższych polskich oficjeli, w której krytycznie ocenił pomysł udziału Polski w amerykańskim projekcie tarczy antyraketowej. Dlaczego? Albowiem – jak tłumaczy w wywiadzie udzielonym Le Nouvel Observateur z 15 marca 2007r. – jest to marne, kosztowne i potencjalnie niebezpieczne remedium na problem, który nawet nie istnieje. Wprawdzie ekspertyza nigdy nie ujrzała światła dziennego, jednak premier Jarosław Kaczyński nie czekał długo i zwolnił Kuźniara, krótko po jej otrzymaniu (oficjalnie „w związku z nową koncepcją funkcjonowania PISM”<sup>4</sup>).

Jednakże Kuźniar nie miał wątpiwości, że jego dymisja wynika z innych pobudek: „Wytłumaczyłem dlaczego, moim zdaniem, partycypacja w budowni amerykańskim systemie antyraketowym, o którą wystąpiła administracja Busha stoi w sprzeczności z naszymi interesami narodowymi. No to pokazali mi drzwi”<sup>5</sup>.

Jak poważne były zastrzeżenia wysuwane przez Kuźniara? Trudno powiedzieć, jednak uzasadnienie wystosowane przez polski rząd z pewnością nastęrcza wielu wątpiwości. Co więcej, komunikat opublikowany przez obecnego ministra obrony<sup>6</sup> jest niemalże dosłownym tłumaczeniem broszury informacyjnej wydanej wcze-

<sup>1</sup> Artykuł ukazał się pierwotnie na stronie [www.mises.org](http://www.mises.org).

Tłumaczenie Marcin M. Sołtysik.

<sup>2</sup> <http://www.cnn.com/2007/POLITICS/07/16/poland.shield.reut/>

<sup>3</sup> [http://www.wp.mil.pl/arttykul\\_wiecej.php?idartykul=2262](http://www.wp.mil.pl/arttykul_wiecej.php?idartykul=2262)

<sup>4</sup> <http://serwisy.gazeta.pl/kraj/1,34397,3909551.html>

<sup>5</sup> Le Nouvel Observateur, wtorek, 15 Marca 2007

<sup>6</sup> [http://www.wp.mil.pl/pliki/File/Tarcza\\_Przeciwraketowa\\_-\\_Pytania\\_i\\_Odpowiedzi.pdf](http://www.wp.mil.pl/pliki/File/Tarcza_Przeciwraketowa_-_Pytania_i_Odpowiedzi.pdf)

śniej przez amerykański Departament Stanu<sup>7</sup>. W cóż takiego oba rządy – zarówno polski, jak i amerykański – chcą byśmy uwierzyli?

Otóż po pierwsze, jak podaje broszura, system należy ulokować w Polsce (i Czechach) „by przeciwdziałać rosnącemu zagrożeniu atakiem raketowym ze strony Bliskiego Wschodu”, szczególnie Iranu oraz innych państw „rozbójniczych”, takich jak np. Korea Północna. Po drugie, Departament Stanu stoi na stanowisku, że natura całego systemu obrony przeciwraketowej jest „wyłącznie defensywna”. I po trzecie wreszcie, instalacja tarczy nie wiąże się ze znaczącym ryzykiem dla polskich obywateli ani ich własności. Zastanówmy się pokrótce nad każdą z tych tez.

Jeśli „zagrożenie ze strony Bliskiego Wschodu” potraktować serio to czy – jak zauważył F. William Engdahl – nie jest zastanawiające, że tarcza antyraketowa nie została rozmieszczona w Turcji, Kuwejcie lub Izraelu? Przecież, każde z tych państw – sprzymierzonych bądź w inny sposób związanych ze Stanami Zjednoczonymi – znajduje się dużo bliżej Iranu niż Polska czy Czechy. A jeśli odległość nie ma znaczenia, to dlaczego by po prostu nie zbudować systemu antyraketowego na wschodnim wybrzeżu USA?

Ponadto, czy rzeczywiście zagrożenie atakiem ze strony któregośkolwiek z „państw rozbójniczych” jest aż tak poważne? Nic na to nie wskazuje: w konflikcie nuklearnym nie ma takiego znaczenia, kto posiada broń nuklearną – może to co najwyżej zniechęcić oponenta do inwazji lądowej (stąd Iran i Korea Północna tak usilnie walczą o dostęp do broni atomowej) – chodzi o to, kto posiada wystarczająco duży arsenał atomowy, by skutecznie uniemożliwić wrogowi atak odwetowy.

Stąd korelacja między napięciami politycznymi między USA a ZSRR okresu zimnej wojny a odstępstwem od stanu równowagi gwarantującej w wyniku konfliktu wzajemne zniszczenie (Mutually Assured Destruction, MAD). Analitycy wojskowi Keir A. Lieber i Daryl G. Press przekonująco uzasadniali to we wpływowym czasopiśmie „Foreign Affairs”:

*Przez prawie pół wieku największe potęgi atomowe tkwiły w stanie militarnego patu znanego jako MAD. We wczesnych latach 1960. arsenał nuklearny USA i ZSRR urósł do takich rozmiarów i osiągnął tak wyrafinowane formy, że żadne z państw nie było w stanie w drodze ataku wyprzedzającego całkowicie zniszczyć arsenału odwetowego drugiego, nawet jeśli byłby to atak z całkowitego zasko-*

*czenia. Wzniecenie wojny nuklearnej byłoby więc równoznaczne z popełnieniem samobójstwa. Podczas zimnej wojny wielu uczonych i analityków politycznych uważało, że dzięki doktrynie MAD świat jest w miarę stabilny i spokojny, albowiem wymuszała ona szczególną ostrożność i subtelność w polityce międzynarodowej, zniechęciła do sięgania po groźbę ataku nuklearnego jako narzędzia rozwiązywania konfliktów politycznych i, ogólnie rzecz ujmując, ujęła w karby zachowanie militarnych superpotęg. Co wymowne, ostatni głęboki impas nuklearny, kryzys kubański z 1962 r., miał miejsce tuż przed nastaniem ery MAD”<sup>8</sup>.*

Ktoś mógłby jednak zauważyć, że „państwa rozbójnicze” nie bez powodu mieni się tą właśnie nazwą – rządzą nimi szaleni dyktatorzy, bez wątpienia zdolni odpalić posiadany ładunek nuklearny, nawet jeśli groziłoby to śmiertelnym kontratakiem ze strony USA.

Ale czy podobnego argumentu nie wysuwano już przeciw Saddamowi Husajnowi? A przecież, jak pisał Thomas L. Friedman w New York Timesie jeszcze sprzed 11 września 2001, iracki władca posiadał broń chemiczną i wbrew ostrzeżeniom Georga Busha seniora użył jej przeciwko własnym obywatelom, ale nigdy nie ośmielił się użyć jej przeciwko wojskom amerykańskim czy Izraelowi<sup>9</sup>. Husajn był więc może zły, ale na pewno nie szalony. I szalony nie jest również prezydent Iranu Mahmud Ahmedineżad.

Pomijając zaś nawet to wszystko, amerykańskie uzasadnienie rozbudowy arsenału nuklearnego „bliskowschodnim zagrożeniem” wydaje się być po prostu nonsensowne. Właśnie dlatego 49 amerykańskich emerytowanych generałów i admirałów wezwało prezydenta USA, aby zarzucił „operacyjne rozlokowanie naziemnego systemu obrony antybalistycznej w środkowej fazie lotu”. Przeciwnicy argumentowali, że:

*Technologia, jaką posiada już w użytku armia amerykańska jest w stanie określić z maksymalną dokładnością źródło ataku raketowego. Dlatego też jest bardzo mało prawdopodobne, by jakiegokolwiek państwo, ryzykując całkowite zniszczenie, jakie przyniosłby atak odwetowy, ośmieliło się przeprowadzić atak na USA, bądź zezwoliło terrorystom*

<sup>8</sup> „The Rise of US Nuclear Primacy,” Foreign Affairs, Marzec/Kwiecień 2006.

<sup>9</sup> The New York Times, Lipiec 24, 2001, s. 19.

<sup>7</sup> <http://www.state.gov/p/eur/rls/fs/83125.htm>

*na odpalenie ze swojego terytorium rakiety uzbrojonej w broń masowego rażenia<sup>10</sup>.*

Jeśli oficjalny powód instalacji tarczy rakietowej (tj. „by przeciwdziałać rosnącemu zagrożeniu atakiem rakietowym ze strony Bliskiego Wschodu”) w najlepszym razie uznamy za słabo uargumentowany, to w takim razie, jaki może być prawdziwy powód?

W tym momencie dochodzimy do drugiego oświadczenia, mianowicie, że system antyrakietowy posiada wyłącznie charakter defensywny. Na pierwszy rzut oka brzmi to całkiem wiarygodnie – wszak rakiety przechwytyjące nie są uzbrojone w jakiegokolwiek ładunki wybuchowe – jednakże i ten pogląd spotkał się z beztrosną krytyką Liebera i Pressa:

*Krytycy systemu obrony rakietowej podkreślają, że tarczę, której prototyp rozmieszczono w Alasce i Kalifornii, z łatwością można zasypać gradem pocisków, bądź może ona zostać zmylona przez specjalne wabiki czy cele pozorne (...) I mają rację: nawet wielopoziomowy system, na który złożąby się elementy rozlokowane na ziemi, w powietrzu, morzu i w przestrzeni kosmicznej nie będzie w stanie obronić USA przed poważnym atakiem nuklearnym. Jednak w błędzie są ci, którzy uważają, że z tego właśnie powodu system obrony rakietowej jest bezwartościowy. Podobnie myślą się wszyscy, którzy popierają utworzenie systemu, argumentując, że właśnie z wyżej wymienionych przyczyn taki system może być w kręgu zainteresowania jedynie państw rozbójniczych, a nie innych potęg nuklearnych. Obydwa obozy zdają się nie dostrzegać faktu, że taki rodzaj obrony rakietowej, jaki planują rozlokować Stany Zjednoczone, ma przede wszystkim charakter ofensywny, a nie defensywny – nie jest tylko tarczą, ale stanowi dodatek zwiększający bojową zdolności ataku wyprzedzającego.*

Jeśli jednak rację mają Lieber i Press w ocenie charakteru bojowego tarczy, to powstaje ważne pytanie, w kogo mogłaby być ona potencjalnie wymierzona.

Należy zdawać sobie sprawę, że rząd amerykański jako największa potęga militarna świata nie przywiązuje wagi do zimnowojennych sentymentów, lecz kieruje się pragnieniem globalnej dominacji. To zaś wymaga powstrzymywania zapędów i paraliżowania aktywno-

ści militarnej głównych rywali (notabene również dążących do hegemonii) – Unii Europejskiej, Rosji i Chin. A czyż przy tak zarysowanej taktyce doskonałym posunięciem nie byłaby właśnie budowa baz wojskowych w rozmaitych miejscach Eurazji i rozmieszczenie tarczy rakietowej w Polsce i Czechach<sup>11</sup>?

Wszak doprowadziłoby to do powstania w Europie swoistego kordonu sanitarnego, utrudniającego zbliżenie UE i Rosji a jednocześnie stwarzającego potencjalne zagrożenie dla eurazjatyckiej współpracy między Rosją, Chinami i Iranem. Zresztą według Liebera i Pressa to „potencjalne zagrożenie” staje się coraz bardziej realne:

Jeśli USA dokonałoby ataku nuklearnego na Rosję (bądź Chiny), państwo będące celem ataku pozostałoby z niewielkim, jeśli w ogóle jakimkolwiek arsenałem. W tym momencie nawet stosunkowo skromny czy mało wydajny system obrony przeciwrakietowej może w zupełności wystarczyć do uchronienia przed atakiem odwetowym, ponieważ obrócony w perzynę arsenał atomowy przeciwnika nie będzie już w stanie oszukać obrony przeciwrakietowej.

Przyjęcie, że tarcza rakietowa stanowi w istocie – by posłużyć się trafnym określeniem Noama Chomsky'ego<sup>12</sup> – broń „pierwszego rażenia”, pozwala krytycznie spojrzeć także i na trzecią tezę przedstawioną przez MON, jakoby instalacja tarczy w Polsce nie pociągała za sobą zagrożenia dla obywateli ani ich własności. Trudno przecież wykluczyć, że jakaś część nieprzechwyconych rakiet bądź tych, które nie spłoną całowicie w atmosferze, spadnie na wsie i miasta w północnej Polsce (notabene nie jest wcale oczywiste, kto poniósłby w takim wypadku prawną odpowiedzialność za straty). Raport MON całkowicie bagatelizuje ten problem przywołując przykład szczątków promu Columbia – wielokrotnie większego niż rakiety tarczy – które nie wyrzuciły na ziemi znaczących szkód, ale w żaden sposób nie odnosi się do podstawowego faktu, że prom kosmiczny to przecież nie broń jądrowa. Co ważniejsze jednak, mimo że elementy systemu obrony – w przeciwieństwie do np. ambasad – nie są rozmieszczane na terytorium eksterytorialnym, to władze polskie nie mają nad nimi żadnej kontroli. W praktyce oznacza to, że Polska może zostać uwikłana w wojnę bez zgody obywateli czy świadomej decyzji władz. Innymi słowy, instalacja tarczy rakietowej w Polsce czy-

<sup>11</sup> Po bombardowaniu Serbii USA zbudowało bazy w Kosowie, na Węgrzech, w Albanii, Bułgarii i Macedonii. Co więcej, po 11 września 2001 amerykańskie bazy powstały także w Afganistanie, Pakistanie i Kirgistanie.

<sup>12</sup> Zob. np. list Chomsky'ego do czeskiego opozycjonisty Jan Tamáša: <http://www.zmag.org/content/showarticle.cfm?ItemID=13154> lub także wywiad z Chomskym w „Europie”, dodatku do „Dziennika” nr 165/2007-06-02, s. 2.

<sup>10</sup> [http://www.truthout.org/docs\\_2006/031907G.shtml](http://www.truthout.org/docs_2006/031907G.shtml)

ni z naszego kraju doskonałego „sprzymierzeńca”, bowiem niemal automatycznie angażuje Polskę w wojny silniejszego sojusznika – Stanów Zjednoczonych.

\*\*\*

Wziąwszy pod uwagę wszystkie te zastrzeżenia, które dowodzą jeśli nie fałszywości, to przynajmniej nie-spójności raportu rządowego, śmiało można zapytać, dlaczego Polska bezwarunkowo, z taką czołobitnością, wyraziła zgodę na instalację amerykańskiego systemu obrony i dlaczego z taką uległością pomaga w realizacji celów i strategicznych planów USA.

Pierwsza, najbardziej narzucającą się odpowiedź jest taka, że Polska po prostu uważa się za „sojusznika” Stanów Zjednoczonych. Z jednej strony istnieje bowiem w Polsce przemożne poczucie porzucenia, ożywiane bolesną pamięcią rozbiorów i obu dwudziestowiecznych wojen światowych, a z drugiej strony, jakby wymuszona tą pamięcią, wdzięczność i ufność w stosunku do USA.

Chociaż wyjaśnienie takie może się na pozór wydać całkiem rozsądne, to opisuje ono raczej trzon poglądów politycznych warszawskiej klasy średniej niż zapatrywania politycznych decydentów. Ci ostatni wszak – z racji piastowanych stanowisk i samej natury polityki – opierają się nie na emocjach czy sentymentach, lecz na chłodnej kalkulacji i pragmatyzmie. Innymi słowy, polscy politycy są zapewne w pełni świadomi wszelkich zagrożeń związanych z wspieraniem USA, a jednak to właśnie owa uległość i przychylność wobec Amerykanów cechuje polską politykę zagraniczną niezależnie od tego, jaka partia znajduje się akurat u władzy.

Ten pozorny paradoks staje się nieco bardziej zrozumiały dopiero po skrupulatnym przestudiowaniu ostatnich trzydziestu lat polskiej historii, a w szczególności okresu przed transformacją ustrojową. W tym okresie największym problemem Polski, oczywiście poza samym reżimem komunistycznym i brakiem wolnego rynku, był ogromnych rozmiarów dług zagraniczny, będący w dużej mierze skutkiem znacznych podwyżek cen ropy w latach 1970.

Jako importer ropy, z całkowicie przy tym zrujnowaną gospodarką, Polska – podobnie jak Meksyk czy Brazylia – zaczęła się dość nieodpowiedzialnie zapożyczać u zachodnich, głównie amerykańskich, banków, pożyczając w ten sposób środki na sfinansowanie importu. Oczywiście Wall Street nader chętnie kredytowała biedniejsze gospodarki, bowiem pożyczone dolary szybko wracały do USA w formie wpłat państw OPEC deponu-

jących w bankach zyski z eksportu czarnego złota (tzw. oil tax)<sup>13</sup>.

Jak doskonale przedstawił to John Perkins w swojej książce *Confessions of an Economic Hit Man*, udzielanie ogromnych międzynarodowych pożyczek odbywało się zwykle przy cichym poparciu rządu USA (zawsze gotowego wesprzeć niewypłacalny bank<sup>14</sup>), który liczył na to, że dłużnicy nie będą w stanie spłacić swoich zobowiązań, zbankrutują, a ostatecznie stając się całkowicie zależni od swoich pożyczkodawców, zaoferują im w zamian wszystko – od głosu na sesji ONZ po bazy militarne. Odnosi się to nie tylko – jak się powszechnie uważa – do krajów Ameryki Łacińskiej, ale również do Polski, której dług u państw zachodnich przekroczył u schyłku 1980 r. 24 miliardy dolarów, a roczny koszt jego obsługi przewyższał całkowite wpływy z eksportu.

To, że Stany Zjednoczone rzeczywiście miały poważne plany wobec Polski wyszło na jaw 6 lutego 1981 r., gdy kongresman „jastrząb” Les Aspin – członek i przewodniczący ważnych komisji w Kongresie USA (House Banking and Currency Committee i House Committee on Armed Services), a później także sekretarz obrony w administracji Billa Clintona – rozpoczął swój artykuł w *New York Timesie* nader wymownym zdaniem: „Jeśli sowieckie czołgi nie określą przyszłości Polski, zrobią to zachodnie banki”.

Aspin zasugerował, że w ówczesnej sytuacji Polska miała w gruncie rzeczy trzy możliwości: nie spłacić pożyczek i ogłosić moratorium na zwrot długu oraz spłatę odsetek; płacić odsetki, ale zawiesić wypłaty na poczet długu; bądź starać się o zmianę harmonogramu spłat kredytu. Naturalnie tylko ostatnie rozwiązanie nie pociągnęłoby za sobą poważnych karnych ograniczeń importowych i, tym samym, nie doprowadziłoby do spotęgowania kryzysu w kraju, którym brakowało właściwie wszystkiego – od odpowiedniej żywności po surowce przemysłowe. Niestety najlepsza spośród tych możliwości była również najtrudniejsza do zrealizowania, ponieważ była w pełni zależna od decyzji zachodnich banków. Niemniej jednak, jak eufemistycznie ujął to Aspin, nawet jeśli rząd amerykański nie mógł zmusić bankowców do udzielenia pożyczek, to bez wątpienia był w stanie „stworzyć warunki, które zachęciłyby bankowców do podjęcia większego ryzyka”. Tym samym pożyczka udzielona Polsce dawała znakomitą sposobność, aby „wywierać wpływ na kierunek polityczny, jaki wybierze polski rząd” bez konieczności interwencji militarnej.

<sup>13</sup> O mechanizmie cyrkulacji dolara zob. Vincent R. LoCascio, *The Monetary Elite vs. Gold's Honest Discipline*, szczególnie roz. VII.

<sup>14</sup> Zob. Jeffrey Sachs, „Robbin' Hoods”, *The New Republic*; 13 marca 1989.



Oczywiście nie ma nic za darmo. Dla Warszawy i Moskwy ceną za zmi-  
nę terminu spłaty była „akceptacja  
niezależnego źródła władzy politycz-  
nej”, tj. uznania jako partnera poli-  
tycznego związku zawodowego „Soli-  
darność”, który miał być gwarantem  
wprowadzenia w życie zachodniego  
programu polityczno-gospodarczego  
napisanego ręką amerykańskich eks-  
pertów. Nie powinno budzić specjal-  
nego zdziwienia, że przemiany w Pol-  
sce po 1989 r. potoczyły się dokładnie  
według tego scenariusza – osiem lat po  
tym jak Aspin ujawnił amerykański  
„plan dla Polski” „Solidarność” fak-  
tycznie rozpoczęła kierowanie krajem  
w oparciu o program reform zapro-  
jektowany uprzednio przez Jeffreya  
Sachsa. W zamian za to we wczesnych  
latach dziewięćdziesiątych wierzycie-  
le znacząco obniżyli dług oraz zmie-  
nili harmonogram jego spłaty.

Warto na koniec dodać, że w cią-  
gu 17 lat istnienia III RP każdy kolej-  
ny rząd w mniejszym lub większym  
stopniu składał się z osób bezpośred-  
nie zaangażowanych w realizację pla-  
nu USA klarownie przedstawionego w  
artykule Aspina. Nie powinien zatem  
dziwić udział Polski w obu wojnach  
w Zatoce Perskiej (choć sowieckie  
czołgi stacjonowały w kraju do 1993  
r.), wysłanie kontyngentu ponad ty-  
sięca żołnierzy do Afganistanu i – zu-  
pełnie niedawna – zgoda na instalację  
kosztownego i potencjalnie niebez-  
piecznego systemu obrony raketowej.  
Wydaje się przeto, że Polacy, zupełnie  
jak starożytni Spartanie, mają wybór,  
by albo skończyć z tarczą, albo na  
tarczy.